KOBIETY,

JAKICH MAŁO NA SWIECIE

CZYLI

CNOTA NADGRODZONA

DRAMA

WE TRZECH AKTACH

Przez Michała Bonczę Tomaſzewſkiego

NAPISANE.

Zmocnią ſławę Synowie, i osadę Miaſta,
Nadto jednak coś więcey: poczciwa Niewiaſta.

Eccles: C. 40. V. 19.

W WILNIE
w Drukarni XX. Bazylianow Roku 1799.

DO

JASNIE WIELMOZNEGO

ALEXANDRA

HRABI

CHODKIEWICZA

STAROSCICA ZMUDZKIEGO.

Jaśnie Wielmożny Panie!

Ofiara, którą niosę Jaśnie Wielmożnemu Panu, jest jedna z pierwiastkowych owocow pracy moiey: szczęśliwym się będę sądził, jeżeli znaydzie tak łaskawe przyięcie, jak jest życzenie moie w przysłużeniu się nią Jaśnie Wielmożn: Panu, gdyby bowiem tyle było w moiey mocy, ile czuię chęci, zebrałbym Mu

na

na ofiarę owoce naydóyrzalsze: ale zna to każdy, iż dosyć ten czyni, kto czyni to, co może. Ja zaś przekonany jestem, iż kim rządzą wspaniałość, cnota i inne znakomite przymioty, ten żadną czystą nie pogardza daniną. Mam więc nadzieię, iż ta, którą ja teraz składam u nóg Jego, będzie nayłaskawiey przyięta

Jaśnie Wielmożnego Pana
i Dobrodzieia!

naynižszy sługa

M. B. Tomaszewski

KOBIETY,

JAKICH MAŁO NA SWIECIE

CZYLI

CNOTA NADGRODZONA

OSOBY

Lotary Pułkownik.
D' Artur Baronowa Sioſtra Pułkownika.
Ludwik Porucznik Syn Pułkownika.
Fani Panna bogata z Holandyi.
Murer Guwernerka Fani.
Karolina Wychowanka Pułkownika, Córka Murer.
Doras Prezydent Sądowy Oyciec Karoliny.
Albert Chorąży, Wychowanek Pułkownika.
Gierycht kochaiący Karolinę.
Vice-Prezydent.
Konsyliarze.
Sekretarz Sądowy.
Lorens Lokay Fani.
Maciey Woźnica Fani.
Gamacz Lokay Pułkownika.
Bryftregier.
Instygator i ſześciu Zołnierzy.

SCENA w NIEMCZECH

w Mieście Oldenburgu, w Domu Lotarego.

AKT PIERWSZY

Teatr okazuie przedpokoy, w którym drzwi czworo.

SCENA I.

ALBERT *Siedząc oparty na Stole, po krótkim milczeniu ſpogląda na okna.*

Doczekałem ſię przecie dnia.... a dnia nayokropnieyſzego w życiu moim, Dziś ten dom będzie oddany łakomemu Lichwiarzowi..... Dziś ten dobroczynny Człowiek wyzuty będzie ze ſwego maiątku... Gdzież ſię ja obrócę.... O Lotary!... znaydzieſzże Ty teraz gdzie ſam ſchronienie... Ach bardzo wątpię. Tyś nie odmawiał nikomu wsparcia, a teraz ſam onego będzieſz potrzebował, *przechodzi ſię*. Po cóżeś mnie odebrał z Regimentu? Gdybym był tam ſłużył do tych czas, nie widząc tego, co ſię dziś z tobą ſtanie, mniey byłbym zmartwiony.... Gdzież ſię obróciem nieſzczęśliwi.... Baronowa jeſt Pani Miłoſierna,

ale

ale będzież mogła (ile będąc miernego maiątku) utrzymać nas wszystkich?.... Tak.... Ja Im muszę uczynić ulgę, muszę odstąpić.... odstąpić?.. ale! będęż mógł żyć bez ulubioney Karoliny?... Nie... trzeba raczey pozostać... O Lotary! gdyby nie Ty, możebym do tych czas zostawał w stanie naynędznieyszym. Wychowałeś mię: dałeś mi Edukacyą przyzwoitą: czymże Ci się teraz za to wypłacę? Ach! chyba pracą rąk moich, ile w tym czasie, kiedy jey potrzebuiesz.

SCENA II.

ALBERT, MURER, LORENS.

ALBERT *spostrzegaiąc wchodzącą Murer, która mu się kłania.*

Czegoż to chce tak rano ta Pani?

MURER.

Mospanie! za pozwoleniem. Czy to jest dóm Pana Lotarego Pułkownika?

ALBERT.

Ten sam Mościa Dobrodziko.

MURER.

Stoi tu więc JPani D' Artur Baronowa?

AL-

ALBERT.

Oto ſą jey pokoie; ale jeſzcze muſi ſpać, ponieważ ſłużącey nie widać. Niech ſię Pani na tey Sali trochę zatrzyma, ſpodziewam ſię, że nie długo wſtanie. *na stronie:* Póydę ten oſtatni raz obeyrzeć luby móy ogrodek, te drzewa, którem wſzczepiał własnemi rękami, póydę pożegnać ſię z niemi na zawſze *odchodzi.*

MURER.

Ten Officier widzi ſię być bardzo nieſpokoynym.

LORENS.

Zwyczaynie: każdy ſtan mą ſwoie umartwienie.

MURER.

Prawda, ale twoie, ſpodziewam ſię, że ſię dziś ſkończy. W tym domu jeſt Panna Fani, za naypierwſzym obaczeniem ſię, powiem jey, ażeby twoie zaſługi oddała i będzieſz ſobie wolnym.

LORENS *na stronie.*

Tam do diabła, wſkorałemże teraz.

MURER.

No! idź ſobie, zaczekam tu ſama. Jużem

żem znalazła to mieszkanie, którego szukałam; obeydę się bez ciebie.

LORENS.

Jak to? Pani chcesz sama zostać w nieznaiomym mieyscu?

MURER.

Zkądże ta gorliwość? nie dawno ledwiem cię uprosiła, ześ ze mną poszedł, a i to całą drogę burcząc pod nosem. Mówiłeś mi, że już nie chcesz dłużey służyć u twoiey Pani: że ci się uprzykrzyła. Więc przyłożę się....

LORENS.

Ach nie Pani! nie czyń tego. Daruy nieumiarkowaniu memu, wyznaię teraz móy błąd, i przyrzekam, że odtąd nigdy Pani podobnych słów z ust moich nie usłyszysz.

MURER.

Człowieku nieuważny! komużbyś to twoią krnobrnością zaszkodził, pomiarkuy się, czy nie sam sobie. Y mogłżebyś to ponieść spokoynie? mógłżebyś oddalić się od tey, z którą w jednym mieyscu rosłes? Twoia Pani ile jest tak dobrą, byłażby bez służącego?... ale ty czy-

byś tak łatwo doſtał podobną ſłużbę? na czymże ci tu zbywa? czego niedoſtaie? któryby Pan miał tak wielkie w tobie zauſanie, jakie ma Panna Aryng? Prawda, że prawowanie ſię twoie jeſt nienaganne, ale czyby gdzie indziey tak prędko poznali ſię na tobie?

ŁORENS.

Wſzyſtko prawda. Ach Pani! jeżeli moie ſprawowanie ſię jeſt dobre, Tobie to jeſtem winien, wychowany pod twoim dozorem: drugą mi prawie Matką byłaś, Ach gdyby nie Pan nieboſzczyk, gdyby nie Oyciec moiey Pani wziol mię ze Szpitala, byłbym może do tych czas ſkrapiał gdzie chleba kawałek krwawym potem. A gdyby nie W. Pani Dobrodzika przyłożyłaś ſię do mego wychowania.....

MURER.

No! dość już tego, Przypominanie dawnieyſzych rzeczy na nic ſię nie przyda, ſtaray ſię lepiey być takim zawſze, jakim byłeś do tych czas.

ŁORENS.

Będę... będę ſię ſtarał być takim.

Da-

Daruy mi tylko Pani.... daruy tę popędliwość.

MURER.

Przebaczam ci łatwo; gdyż to jeſt pierwſzy błąd, któryś popełnił. Jednak życzyłabym, żeby był oſtatni.. Ale powiedź mi, co to cię w tak zły humor wprowadziło?

LORENS.

Nic więcey Mościa Dobrodziko, jak tylko ten tak nagły naſz wyiazd z Baden.... dwanaście mil, całą noc jechać, tak mi dokuczyło, że małom nie pękł ze złości. Powiedź mi W. Pani Dobrod: co to jeſt tak nagłego? nigdyśmy nie mieli zwyczaiu jezdzić po nocy, zawſze zawczasu ſtawaliśmy na nocleg, a późno wyieżdzali. Przyznam ſię W. Pani Dobr: że jak mnie nieprzyzwyczaionemu do nocney jazdy, na naymnieyſzy ſzeleſt liſtka, włosy na głowie powſtali, ile jeſzcze wioząc tyle pieniędzy, z któremi i tak prawie więzienie ucierpiałem tam, gdzieśmy poiazd reparowali: całe trzy tygodnie i dzień i noc z kocza niewyłaziłem pilnuiąc ich.

MURER.

Ależ tak długo jednę oś reparować?

LO-

LORENS.

Pani myslisz, że na wsi tak łatwo o Rzemieslnika, Maciey wszystkie Konie pohasał, nim go dostał. Ale już to się stało, powiedź mi też Pani przyczynę tak nagłego wyiazdu?

MURER.

Ja sama nie wiem, lecz musi być konieczna jakaś tego potrzeba. Gdyż Panna Pani umyslnego posłańca po mnie przysłała, i zaleciła w Liście, ażebym koniecznie jak nayraniey dziś tu staneła.. Lecz cóż to jest? tak długo się tu bawiemy, a nikt nie wychodzi? . nie potrzebnie tu czekam. To jest pokoy Baronowey mogę więc śmiało weyść do niego. A ty się tu zatrzymay, *chce odchodzić.*

LORENS.

Mościa Dobrodziko, Mościa Dobrodziko!

MURER.

Czegoż jeszcze chcesz?

LORENS.

Nie wspominay W. Pani Dobrodzika o naszey rozmowie nic przed Panią.

MU-

MURER.

Ta prozba mnie obraża ... nie znaſzże mnie jeſzcze dotąd? *odchodzi do pokoiu Baronowey.*

SCENA III.

LORENS (*ſam*)

Mogę jey wierzyć bez naymnieyſzey bojaźni; nigdy nie rada oſkarżać, owſzem pokrywa, jeżeli czasem w czym ſię człowiek potknie... Dobrze, żem ſię poſtrzegł, byłbym popełnił głupſtwo naywiększe w świecie oddalaiąc ſię od nich. Ależ ta Pani Murer, tak mnie ſwemi uwagami przenikneła i wzruſzyła, że jak żaden Spowiednik na mnie tego nie dokazał... Wiedział Pan móy, komu powierzyć córkę ſwoią... Szkoda, że ſam nie żyie... Cóż to za uciecha jego była, kiedy przyiechał z Indyi, po przywitaniu ſię z nami, ſpóyrzał na córkę, i rzekł z płaczem: „ żywy Portret żony moiey „ a obróciwſzy ſię do Pani Murer, mówił: „ WPani zaś pilność dokaże tego, że i „ ſerce będzie miała Matczyne „ Nie zawiódł ſię na tym; bo w ſamey rzeczy, ukſztalciła nam tak Panienkę, że kto ją

wi-

widzi, kochać ją koniecznie muſi, a ktoby zaś znał tak, jak ja i Murer jey charakter duſzy, pełen uſzanowania, poświęciłby całe życie na jey usługi... Ale co widzę Murer tak prędko powraca, czy nie zabłądziła czasem?

SCENA IV.

MURER, LORENS.

MURER.

Nie przechodziłże ſię kto tu, Lorens?

LORENS.

Nie...

MURER.

Panna Fani przykazała, ażeby jey ſtan jak można pokrywać. Idź więc do Macieja, oſtrzeż go, ażeby ſię przed kim czasem nie wymówił.

LORENS.

Próżna bojaźń względem Macieja, gdyż on koni nie odſtąpi, a potym Pani wieſz, że to ztąd daleko. Nikt ſię więc dowiedzieć nie może.... Ale jeżeliby ſię kto pytał, czyie jeſteśmy, dokąd iedziemy, zkad?... co mamy na to powiedzieć?

MU-

MURER.

Powiedzieć zwyczaynie jak dawniey, że jesteście moi ludzie, że jestem uboga, że Fani jest moią córką, w reszcie powiedźcie to, co się wam podobać będzie.... No śpiesz się, a powracay nazad, może będziesz na co potrzebny. (*Lorens odchodzi.*)

SCENA V.

MURER.

Co się to ma znaczyć, Fani tak pomieszana?... gra tu służącey rolę, może?... Ale mogę bydź o nią spokoyna.... o gdybym z innych miar podobnież spokoyną bydź mogła... O Lors!.. o D'Orli!... dla czegoż o tobie wiarołomco zapomnieć nie mogę? dla czegoż w ciągu lat dwódziestu twóy obraz w umysle wyryty noszę? kocham cię dotąd niegodny Małżonku, a ty... może się natrząsasz z tego... Ale nie... nie podobno, ażeby twoie sumnienie mogło bydź spokoyne?... Dzięki Opatrzności, że mnie przeznaczyło za Dozorczynę u tey miłey Familii. Cieszę się z wychowania ciebię kochana Fani, cieszę się choć

nie

nie ſwoim owocem. Cieſzę ſię tylko czczym tytułem Matki, który ty mi nadałaś... O jakżeby mi był wtedy miły! gdybym go od własnego dziecka ſłyſzała. O Dorli!... Dorli! cożeś uczynił? nie dość, żeś mię opuściłeś, nie dość, że mię zoſtawiłeś bez ſposobu do życia, ale nadto oſierociłeś mię z lubego owocu miłości moiey, z ulubioney mi Klaryſsy. Jeżeli żyie, jeſt w wieku miłości, a może łaknąca chleba kawałka... Ach! ta mysl w rospacz mnie wprawia!.. (*chwyta ſię za piersi*) Co to jeſt?.. zkąd to wzruſzenie tak nagłe?.. Ach! ſłabieię... (*ſiada na krzesle*) Klaryſso! Córko moia... zdaie mi ſię, iż cię widzę u nóg ſwoich, że cię przyciſkam do ſerca mego... ale nie... precz ode mnie mamiąca imaginacyo, nie odbieray mi ulubioney ſpokoyności (*porywa ſię*) o Dorli! Mężu wiarołomny, gdybym cię kiedykolwiek znalazła,.. zemſta moia... Nie... nie znioſłabym tego... darowałabym wſzyſtko.

SCENA VI.

FANI, MURER.

FANI.

Nie maſz już Lorensa?

MURER.

Już poszedł. Ale kazałam mu nazad powracać, może być na co potrzebny.

FANI.

Nie widziałże tu kto WPani Dobrodziki?

MURER.

Prócz młodego Officiera, którego zastałam w tey sali, i który za moim przyiściem wyszedł temi drzwiami: nikt więcey.

FANI *na stronie.*

Syn Pana Pułkownika słyszałam, że gadał na sali, więc musiał to być Albert.

MURER.

Powiedz mi WPanna, dla czego tak nagle kazałaś mi przyieżdżać?

FANI.

Mościa Dobrodziko, oto, że... Lecz co widzę, WPani Dobrodzika płakałaś? Jakaż tego jest przyczyna? Ach kochana Matko! nie tay nic przede mną. Możem cię w czym obraziła? może?.. powiedź mi, co chcesz? czego żądasz? a masz mię całą na usługi twoie.

MU-

MURER.

To nadto. Mościa Panno Dobre to ſerce WPanny....

FANI.

Któreś WPani Dobrodzika przez ſwóy pilny dozor ſtarałaś ſię jak naylepiey uformować. Ach naymilſza Matko! dozwól mi ſię tak nazywać, póki ci Bóg życia pozwoli; dozwól mi odſługiwać te prace, któreś poniosła w wychowaniu moim. A jeżeli w czym błądzę? oświeć mnie! kieruy mną podług woli twoiey, a ja na krok jeden od twoich prawideł nie odſtąpię. Łaſkawa Dobrodziko, proſzę! powiedź mi, co cię w tak wielki ſmutek wprawia, może moie poſtępowanie?..

MURER.

Które jeſt w niczym nienaganne.

FANI *klęka.*

O kochano Matko! nie tay nic przede mną, oto mię maſz u nóg twoich, gdyż te WPani Dobr: oboiętne wyrazy, w rozpacz mię wprawiaią.

MURER.

Wſtań... Kochana córko, nic przed tobą taic nie będę; ale ponieważ mi ſama

nadałaś prawo Matki, i ofiarowałaś swoie posłuszeństwo, spodziewam się, iż mi pierwey odkryiesz tajemnicę tak nagłego tu mnie sprowadzenia?

FANI.

Jużbyś WPani Dobrodzika była o tym uwiadomiona, gdybym na jey twarzy nie była spostrzegła tak nadzwyczayney odmiany.

MURER.

Słucham.[1]

FANI.

Sprowadzenia tak nagłego WPani Dobrodziki nic więcey nie jest powodem, jak tylko nieszczęsliwa sytuacya Familii tu mieszkaiącey. Ten Dóm jest dziedziczny Pana Lotarego Pułkownika brata Pani D' Artur. Kredytor otrzymał na niego Dekret, i dziś ma nastąpić exekucya onego. Jesli więc o godzinie dwónastey nie odda pieniędzy, .. ach biédny!

MURER.

Cóż więc?

FANI.

Będzie się musiał na zawsze pożegnać nie tylko z domem, ale nawet z całą swoią ruchomością.

MU-

MURER.

WPanna się nad niemi lituieſz? bardzo pięknie, jeſt to znak dobrey duſzy ubolewać nad cudzym nieſzczęściem.

FANI.

A jeżeli można, to i zapobiedz onemu. Są to maxymy WPani Dobr: któreś mi od dzieciństwa w grunt ſerca mego wpajała.

MURER.

Już wſzyſtko rozumiem. Jak wielka jeſt ta ſumma?

FANI.

Jak mi mówiła Baronowa D' Artur, wynoſząca więcey nad dzieſięć tyſięcy talarow.

MURER.

To jeſt trochę za wiele.

FANI.

Dla kogo inſzego, ale jak dla mnie, nie wiele uſzczerbku przynieſie. Bo na cóż mi ſię zdadzą pieniądze tak wielkie, które z ſobą woziemy? na co te, które leżą na banku? jeżeli ich nie będę mogła do niczego użyć. Dzieſięć ty-

ſięcy

ſięcy talarow, znaku nawet nie uczynią w moim kapitale, jeſt to pół procentu rocznego mego dochodu, a te cnotliwą Familią, wyrwą z tak wielkiego upadku.

MURER.

Nie ganię tego WPannie, i owſzem jesteś Panią ſwego maiątku, możeſz z nim poſtąpić, jak ci ſię podoba. Ale daiąc tak wielką ſummę, czy nie będzieſzże ſwego czasu tego żałowała?

FANI.

Nigdy. Y dla czegoż? jeſt to miłoſierny uczynek, który mi podobne ukontentowanie przynieſie, jakiego doznawała Lady Killing, wykupuiąc dwie Papugi z niewoli u jednego Kupca. Słyſzałam ją mówiącą: „nie żałuię tych „ſto dukatow com zapłaciła, ponieważ „za nie zrobiłam wolność tym biednym „ptaſzynom.„

MURER.

Cieſzę ſię z tego, iż bierzeſz przykład z takowego uczynku. Lecz Lady Killing nie warta, aby ją nasladowano. Dniem bowiem pierwiey, był u niey jeden niewolnik osadzony za długi, które więcey nie wynoſiły, nad czerw: złot: pię-

pięćdziesiąt. Prosił ją o wspomożenie, lecz ta, zamiast podania ręki podupadłemu; odwróciła się z miną pełną wzgardy. Jakże więc sądzisz o tym?

FANI.

A to wcale niesprawiedliwie. Łożyć pieniądze na uwolnienie niemego ptaka, a niemieć uczucia nad biednym stanem podobnego sobie Jestestwa: to nie dobrze. Ale czemużem ja o tym wtedy nie wiedziała? byłabym natychmiast...

MURER.

Uczyniłam to sama. Gdyż maiąc w gotowiźnie tę summę, nie dopuściłam mu dłużey cierpieć niewoli.

FANI.

Ach kochana Pani! jakżeś szczęsliwa! nigdy cię za to błogosławić nie przestanie ten biedny. Więc pozwalasz WPani na to, ażebym opłaciła Kredytora Pana Pułkownika?

MURER.

Już mówiłam, że jesteś Panią swego maiątku, możesz robić, co się ci podoba. Ale kiedy tak myslisz, to niepotrzebnie odesłałam Lorensa. Trzeba mu było ka-

zać lepiey przynieść pieniądze. Więc taką rzeczą już po naſzym ſekrecie?

FANI.

Nie... nie Mościa Dobrodziko! owſzem chcę, ażeby jak można to taić.

MURER.

Cóż to jeſt za taiemnica? wcale tego poiąć nie mogę. Tu chceſz, ażeby ſtan WPanny utaić. W tym ſamym mieyscu chceſz dać tak wielkie pieniądze? to ſię wcale jedno z drugim nie zgadza.

FANI.

Mościa Dobrodziko! przyznam ſię jey, iż od niejakiego czasu, poznaię wielką w ſobie odmianę. Móy wesoły humor i ſpokoyność, zdaie ſię, iż już mię odſtąpiły. Ich zaś mieysce zaiął ſmutek i melancholia, która mię uſtawicznie trapi.

MURER.

Muſi być tego jakaś właściwa przyczyna?

FANI.

Dotąd nie miałam nic takiego, cobym taiła WPani Dobrodzice. Miałażbym teraz?.. Ach!

MU-

MURER.

Cóż to jest?.. rumienisz się? łzy ci w oczach stoią? domysłam się wszystkiego... Musi tu więc być ktoś?.. który?.. wszak zgadłam.

FANI.

Tak jest Mościa Dobrodziko, tak w samey rzeczy.

MURER.

Więc WPanna kochasz się? No... czegosz się płonisz? nie masz to w tym nic złego. Zdaie mi się, iż ten, którego serce WPanny obrało, musi być godzien kochania?

FANI.

Nie inaczey Mościa Dobrodziko... tak jest... wszystko jey wyznam szczerze. W ciągu bowiem dwóch tygodni dostrzegłam w nim wszelkie te przymioty, o których mi WPani Dobrodzika często namieniałaś, zdaie mi się, iż go natura naycelnieyszemi powabami ubogaciła, które zniewoliły serce moie: taiia piękna, wdzięki uymuiące, w oczach jego żywość i powolność się mieści, uczucia tkliwe, boiaźni pełne, które więcey u mnie ważą, niżeli wyniosły umysł. Nie

zby-

zbywa mu na niczym, prócz na bogactwach, które podług zdania WPani nic nie znaczą....

MURER.

Jeżeli ma ſerce nieſkażone i Szlachetność duſzy?

FANI

Wſzyſtko ſię to w nim widzieć zdaie.

MURER.

Jeśli tak jeſt, winſzuię WPannie takowego wyboru. Ale ktoż to jeſt taki?

FANI.

Syn Pana Pułkownika, a Synowiec Baronowey.

MURER.

Brawo! Więc WPanna jak widzę czyniſz Cnotę z potrzeby?

FANI.

Nie Mościa Dobrodziko. Znaſz WPani Dobrodzika móy ſposob myślenia, że jeſt wcale ſtronny od tego.

MURER.

Przynaymniey, że ſię jedno przy drugim znayduie. Ale czy on też kocha WPannę?

nę? bo ten ſtan któryś na ſiebię przy-
iełа, bardzo jeſt niebespieczny. Młodzi bowiem Panowie zwykli okazywać niby niezmyśloną miłość ku Pokoiowkom, tą zaś Miłość może bydź czasem pełna zdrady.

FANI.

Nie Mościa Dobrodziko, nie spodziewam ſię, ażeby w jego nieſkażonym ſercu, jaka podłość mogła ſię mieścić?

MURER.

Jeſteśże o tym przekonaną?

FANI.

Zupełnie. Za przyiazdem naſzym, wſzyscy w nim wielką obaczyli odmianę; poznawałam to po części, lecz uczyłam ſię, jakbym tego nie znała, i mimo mego ſtanu, w jakim mię teraz ſądzą, okazywał ku mnie naywiękſzy Affekt i uſzanowanie. Zapatrywał ſię na mnie częſto, lecz gdy widział, iż to ſpoſtrzegam, ſpuſzczał Oczy i rumienił ſię. A jeżeli mu ſię przyſzło kiedy ſpotkać ze mną, poſtrzegłam po nim jakieś pomieſzanie. Dnia jednego, gdy ſię Baronowa ubierała, wſzczęła Rozmowę o ſwoim Synowcu, i wyliczała mi jego przy-

mio-

mioty. Wreście oświadczyła, iż gdyby nie odmiana tak nagła tego Domu, odważyłby się prosić o Rękę Moią.

MURER.

Cóż WPanna na to?

FANI.

Odpowiedziałam. Gdybym była równo przynaymniey urodzeniu Pana Ludwika, mogłabym łatwo temu wierzyć. Nie dała mi reszty domówić Baronowa, i rzekła: że gdyby jey Synowiec barziey przenosił bogactwa i urodzenie nad cnotę i piękność, jeszcze w Regimencie byłby się ożenił, dodała i to, że i Pan Pułkownik mocnoby sobie życzył mieć ze mnie Synowę, a w końcu pytała się, czybym zezwoliła na zamęście? co ja zostawiłam do woli WPani Dobrodziki.

MURER.

Samże nie oświadczył ci się z swoią miłością?

FANI.

Jednego wieczora, gdy mię napotkał w ogrodzie, wzioł moią rękę i rzekł: „Kochana Fani wartaś losu nierównie lepszego, niż ten, w którym zostaiesz. Gdy-

bym

bym mógł mieć ſposob na utrzymanie ciebie przyzwoite, poświęciłbym całe me życie na uſługi twoie. Lecz nieſtety: nie mam żadney nadziei podźwignienia ſię z upadku tobie wiadomego, a tym ſamym nie śmiem cię proſić o rękę, moment zaś rozſtania ſię z tobą, będzie dla mnie momentem naynieſzczęsliwſzym w życiu.,, Sama nie wiedziałam, co mu na to odpowiedzieć, i ſtałam moment nie mówiąc i ſłowa. On zaś całuiąc moią rękę, uroſił ją łzami i ſpieſznie odſzedł. Mogęż więc jeſzcze powątpiwać o jego ſtałey dla mnie przyiaźni? Mogęż ſię jeſzcze wahać? Nie Mościa Dobrodziko! Jego miłość wcale nie jeſt zmyslona, nie jeſt też i intereſsowana; bo kocha tylko ubogę ſłużącą.

MURER.

Jesli tak jeſt, jak mi WPanna mówiſz, życzę W. Pannie proiekt ſwóy uſkutecznić.

FANI.

Ach Mościa Dobrodziko! nie mogę ſię poiąć z radości. Możeż co ſzczęściu moiemu wyrównać? Będę ſię zapatrywać na Męża kochaiącego mnie, Oyca oswobodzonego, Małżeńſtwo przysposobię, które....

MU-

MURER.

Cóż to WPanna mówisz, co za Małżeństwo?

FANI.

Zapomniałam WPani Dobrodzice powiedzieć, że Siostra Pana Ludwika jest na wydaniu, czekaią tylko ukończenia interessów domowych

MURER.

Mąż jey narzeczony, jestże maiętny?

FANI.

Jest to wychowanek Pana Pułkownika. Oyciec jego był znacznym Człowiekiem, który przez nieszczęście podupadł. Możnaż mieć większe ukontentowanie nad te, które mnie spotyka?.. Znaydować się w gronie Familii przeiętey wdzięcznością. A naywiększąbym jednak miała roskosz w tym, iż ta, która wraziła w móy umysł wyobrażenie prawdziwey szczęsliwości, jest od wszystkich szanowaną (*całuie w rękę*) Sądź że WPani Dobr: nie będęż zupełnie szczęsliwą?

MURER *przyciskaiąc Fani.*

Będziesz nią! będziesz szczęsliwą kochana

chana Fani, ty jedyny Owocu ſtaranności moiey, ty osładzaſz w tym ſercu to umartwienie, które . .

FANI.

Co za umartwienie? cóż to maią znaczyć te łzy? Ach Matko moia.

MURER.

Nic to . . Nic moie Dziecie! ſłuchay mię tylko cierpliwie, właśnie ci teraz ta wiadomość jeſt także potrzebna, gdyż zamyslaſz o ſtanie, który jeżeli jeſt złączony z ſerc nieſkażonych i niepodpadaiących odmianie, jeſt ſtanem nayſzczęsliwſzym, lecz jeżeli inaczey, jeſt to ogień piekielny, który przez całe życie pożera ſpokoyność umyſłu.

FANI.

Zmiłuy ſię WPani Dobrodzika chciey mię w tym oświecić.

MURER.

Barzo dobrze. Więc trzeba WPannie wiedzieć przyczynę mych nieſpokoyności, zatym opowiem jey hiſtoryą krotką życia moiego. Urodziłam ſię w Okolicach Roterdamu. Rodzice moi byli miernego maiątku, tak, że im czasem

zby-

zbywało na potrzebach domowych. Było nas Dzieci kilkoro, ſtarſzych pooddawano na ſłużbę, ja doſtałam ſię do jedney cnotliwey Pani, która barziey zatrudniała ſię wychowaniem moim, a niż patrzała ſobie winney uſługi. W ciągu mego u niey zoſtawania, bywał jeden, którego Imienia nie chcę wymienić: pokochał mnie, i ja, nie uwiadomiwſzy o tym moich Rodzicow, slubowałam mu wiarę Małżeńſką. Lecz nie wyſzło roku naſzego pożycia, aż Mąż móy rozkochał ſię w jakieyſiś ſwawolney Kobiecie; (bo tak mogę mówić: gdyż żadna cnotliwa nie odważy ſię czynić niesnasek w Małżeńſtwie) powiłam mu Córkę, jedyny cel miłości moiey, kochał ją okrutny Oyciec, ale kochał na więkſze udręczenie jey Matki. W rok po urodzeniu ſię moiey Klaryſsy, gdym ją od Pierſi odłączyła, wſtaię jednego poranku i podług zwyczaiu idę ją odwiedzić, aż nieſtety nie zoſtałam jey, pytam ſłużących, gdzieby ſię podziała, te mi powiadaią, że móy Mąż zabrawſzy cały ſwóy maiątek, co miał w pieniądzach, kleynotach, co więkſza, móy naymilſzy kleynot, Córkę moią, moią Klaryſsę! (*płacze*) z tą Kobietą w nocy wyiechał, przykazawſzy

wprzód

wprzód surowo służącym, ażeby mię o tym nie ważyli się uwiadamiać, aż nimbym się obudziła... Wystaw sobie kochana Fani, w jakim stanie zostawałam wtedy?

FANI.

O niegodny!.. taki wstręt tego momentu uczułam do Małżeństwa, że nie myslę więcey o zamęściu. Uciekaymy z tego mieysca kochana Matko... Ja będę się starała Córki WPani Dobrodziki mieysce zastąpić i osłodzić jey to umartwienie. Ale pierwiey powiedź mi WPani, jak się potym obróciłaś?

MURER.

Straciłam kilka miesięcy na wywiadywaniu się o nim, lecz widząc, iż się na próżno badam, umysliłam opuścić to mieysce, które dla mnie było nieznośne. Sprzedawszy pozostały sprzęt, puściłam się w drogę pod tym Imieniem, jakim się dotąd nazywam. Szczęściem dostałam się do Rodzicow WPanny, a gdy byłam zapytaną od nich o przyczynę podróży moiey, chcąc pokryć występek Męża mego; uczyniłam się przed niemi Wdową, szukaiącą sposobu do życia. Zostałam od nich przyięta na rezyden-

cyą, było to blisko sześcio miesiącami przed narodzeniem się WPanny, Matka WPanny wydawszy ją na świat, sama się z nim pożegnała. Zostałaś tedy z woli Oyca pod moim dozorem. Jleż niewylałam łez piastuiąc ją na rękach. Ach! (*ociera łzy*) wychowaniem WPanny zatrudniona; bawiłam się fałszywą imaginacyą, lecz nie oszukałam się na niey, gdyż w mym sercu od dawna zastąpiłaś mey Córki mieysce. Co na odjazd ztąd, to jeszcze nie pozwolę, (*na stronie*) Nie wiem, jakaś mię moc nadzwyczayna pociąga do tego domu, co za dziwne wyobrażenie marzy mi się w oczach, o Klaryssо, o Córko moia! cóż to jest, iż dziś ustawicznie staiesz mi w mysli. . .

FANI *ocieraiąc oczy.*

Jakże ją żal trapi, o nieszczęsliwa!

MURER.

Ta historya niech ci bynaymniey nie czyni wstrętu do Małżeństwa, na przeciwko tey jedney opowiedziałabym ci tysiąc wcale różnych, a na czele tych przywiodłabym nayszczęsliwsze i nayzgodnieysze Małżeństwo jey Rodzicow, gdybyś o nim tyle razy nie słyszała.

FA-

FANI.

Oddaiąc się zupełnie pod rząd WPani i słuchaiąc jey rad, wiem, że w niczym nie pobłądzę... Ale co widzę, Baronowa nadchodzi.

SCENA VII.

BARONOWA, MURER, FANI.

BARONOWA.

Cóż to, Pani Murer u nas? a to zkąd się wzieło? WPani nas miałaś czekać w Baden (*do Fani*) ale i WPanny swawola nie uwiadomić mnie o tym. Zkąd zaś te ceremonie stać przed pokoiem, właśnie jakbyś nie była naszą przyiaciołką, to mi się wcale nie podoba, możebym ja trochę i poburczała, ale zostawię to na potym, *do Murer:* No, jakżeś się WPani masz? ozdrowiałaśże cokolwiek, a jey ręka ztłuczona?

MURER.

Jeszcze mię trochę dolega, spodziewam się jednak, że wkrótce będę zupełnie zdrową.

BARONOWA.

Ale po co było przyieżdzaćsi wiedz

WPani o tym, że ja z całą Familią moią wybieram ſię do Baden. A gdzież jeſt poiazd WPani?

MURER.

Zoſtawiłam go w Oberży zaraz przy Bramie, gdyż warta przy niey będąca, nie chciała nas przepuścić do Miaſta.

BARONOWA.

Taki jeſt w tym Mieście zwyczay, że bez biletu nikogo ani do Miaſta ani z Miaſta nie wypuſzczaią. Y gdybyś była zoſtawiwſzy poiazd na przedmieściu, ſama piechotą przez bramę przechodziła, muſiałabyś pierwiey odwiedzić kantor expedycyi, gdyż nawet tuteyſi Obywatele bez meldowania ſię, nie mogą przez bramę przechodzić. Ale powiedź mi, co ją tu przypędziło, ja myslałam, że WPani nas będzieſz czekać na mieyscu.

MURER.

Pojazd zoſtał zreparowany, Ja trochę w lepſzym zdrowiu, umysliłam więc w dalſzą puscic ſię drogę.

BARONOWA.

A to pięknie (*do Fani*) Mościa Panno, ſłyſzyſz WaćPanna jakiego figla chce

chce nam Imość wypłatać. WPanna zezwalaſzże na to?

FANI.

Powinnością moią jeſt Matce bydź poſłuſzną.

BARONOWA.

Ależ dla Boga (*cicho.*) chceſzże WPanna w grob wpędzić biednego Ludwika.

MURER.

Może WPanna chceſz ſię zoſtać?

BARONOWA.

Ale ani wątpić o tym, już trochę do nas przywykła.... Lecz i ja proſzę, nie porzucay nas WPani Dobrodzika, mocno ją sobie poważamy, chyba jeżeli maſz jaki pilny Intereſs, zatym .....

MURER.

Ja oddaię do Woli Fani.

BARONOWA.

A Moje Panie wcale was rozumieć nie mogę. Córka jeſt poſłuſzna Matce, Matka oddaie do woli Córki, DaliBóg to coś dziwnego. Przyznawam ſię WPani kochana Pani Murer, iż odiazd WPani

wię-

więcey by nam przyniosł umartwienia niż utrata Kamienicy, którą dziś Tradować maią.

SCENA VIII.

Ci sami i ALBERT.

ALBET.

Mościa Dobrodziko, List od Pana Gierycht do Jegomości.

BARONOWA.

Zostaniesz go WPan w swoim Pokoju, musi to bydź coś nowego (*Albert odchodzi*) (*do Murer*) No jakże, zostaniesz się u Nas WPani?..... przynaymniey choć na parę Miesięcy.

MURER *do Fani.*

Cóż WPanna na to?

FANI. (*do Baronowey*)

Łaskawa Pani! w przypadku Jey wiadomym nigdziebyśmy podobno nie mieli schronienia, gdybyś WPani Dobrodzika Nas nie przyięła. Na zawdzięczenie Jey Dobrodzieystwa, spodziewam się iż Pani zechce przyiąc nasze posłuszeństwo.

BA-

BARONOWA.

Brawo! to mi się podoba, Pani Murer przystaie na to?

MURER.

z Duszy.

BARONOWA.

To dobrze, to dobrze! pomożesz nam WPani Dobrodzika dzwigać umartwienie, które nas czeka.

SCENA IX.

Ci sami i KAROLINA.

KAROLINA.

Mościa Dobrodziko, Jegomość prosi na Kawę, i tę Panią, która tu jest na Sali.

BARONOWA.

Alboż Brat Móy wie już o tém, że jest Pani Murer?

KAROLINA.

Gdy się Jegomość pytał o WPanią Dobrodzikę, Pan Albert powiedział, iż tu z jakąś Panią rozmawiasz.

BARONOWA.

Pierwiey jednak nim póydziemy, przy-

witay ſię WPanna z tą Panią. Jeſt to Matka tey Panienki.

KAROLINA.

Co! ... to jeſt Matka Fani? o kochana Przyjaciołko, jakżeś Szczęsliwa, maiąc tak Szlachetną Matkę. Ach! nieſtety Jam mojey nie znała.

MURER.

Z Poruſzeniem) Cóż to jeſt? Co ſię to znaczy? ..... Jakieś Serca drzenie?

KAROLINA.

Biegąc do Murer, całuie Rękę, i przyciſka do Pierſi) Ach Mościa Dobrodziko, nie potrafię wyrazić, co Serce moie czuje w tym momencie.

MURER.

Przyciſkaiąc) O kochane Dziecie, (*na stronie*) O! Boże! doday mi ſiły ... Jakież okrutne Serca bicie. O! Klaryſso... gdybym w życiu moim mogła z tobą doznać tey roſkoſzoſzy!

BARONOWA.

Lecz moie Panie, tak ſię czule ściſkacie, jakbyście ſię od dawna znali, i gdybym nie była świadkiem wychowania mojey Sieſtrzenicy, to bym Bóg wie, co pomysliła. FA-

FANI.

Na stronie) Co za widok uymuiący, ale oraz ciężki dla osierociałey Córki.

MURER.

Ach....

BARONOWA.

Cóż to jest? ... słabo ci widzę kochana Przyjaciołko; może, że tak długo bez posiłku; idźmy.

KAROLINA.

Ah! nie mogę się do woli nacieszyć.

BARONOWA.

No puszczayże; będziesz miała dość czasu, Pani Murer przyrzekła u nas zostać. chodźmy. (*odchodzą z Murer, która pogląda czule na Karolinę, Karolina toż samo*)

SCENA X.

FANI, KAROLINA.

KAROLINA.

Prawdaż to jest kochana Fani, że zostanie Matka WPanny przy nas?

FANI.

Nie inaczey.

KAROLINA.

Ach ta nowina o wſzyſtkich nieſzczęściach zapominać każe, i kochana Fani z nami zoſtanie, przynaymniey Pan Ludwik będzie spokoynym, jak on WPannę kocha, jak on lękał ſię odjazdu WPanny.

FANI.

Mocno mię to cieszy, że mu ſię potrafiłam zaſłużyć.

KAROLINA.

Wszyscy WPannę kochamy, żebyś WPanna wiedziała, jak Ją Jegomość poważa? Ah! życzylibyśmy wſzyscy sobie, ażebyś WPanna na zawſze zoſtała z nami; wierz mi WPanna, byłabyś okrasą naſzey Familij, gdyby....

SCENA XI.

Ciż i ALBERT.

ALBERT.

Moście Panny, Pani Baronowa proſi.

KAROLINA.

Idźmy kochana Fani.

FA-

FANI.

Ależ Pan Albert zdaje ſię dziś wcale bydź nie ſpokoynym?

KAROLINA.

Co ſię to znaczy? Mości Panie, czego WPan tak smutny?

ALBERT.

Nic to Mościa Dobrodziko, wcale nic.

KAROLINA.

Jak to nic, WPan ſię przedemną ukrywaſz?

ALBERT.

Nie, naymilsza Karolino, nigdy....

KAROLINA.

Ale jak to nie? dla czegoſz WPan niechceſz powiedzieć, co go tak trapi, co go tak czyni niespokoynym?

ALBERT.

Mogęż nim bydź w ten dzień, w którym będę ſię patrzał na Scenę dla mnie nayokropnieyſzą? Ah! kochana Karolino wſpomnienie nawet samo na to, wſkróś mię przeraża. Ten Dom, w którym ſię zhodowałem, ten Dom.... Ah....

KA-

KAROLINA.

A fi .... cóż to mi WPan mówiſz, będąc Zołnierzem, nie nauczyłeś ſię znoſić wſzelkich przeciwności, bierz więc przykład ze mnie, która tylko jeſtem Zołnierſka Córka, a nic na to niedbam.

FANI.

Ale Mościa Dobrodziko prawdziwie pierwſzy raz ją widzę w tak weſołym humorze.

KAROLINA.

Kochana Fani, jeſt to znak, że będę miała pewne umartwienie. Doświadczyłam bowiem tego nieraz, iż któregokolwiek dnia rano byłam wesoła, zawſze dzień na płaczu zkończyłam. Ale nie mysl WPan Mospanie Albert, ażeby tego miała bydź przyczyną Tradycya naſzego Domu, nie, wcale ſię na to zawczasu przygotowałam.

ALBERT.

Inney zaś nie przewiduię.

KAROLINA.

Jedna godzina wiele może ſprawić odmiany. Naprzykład: Ja dziſiay wcale nie spodziewałam ſię bydź weſołą, aż w jednym

dnym momencie.... jedno poznanie ſię z Matką mojey Przyjaciołki, tyle mi ukontentowania przynioſło, ile w całym życiu moim nie doznawałam.

ALBERT.

Co ſłyſzę, ta Pani, która jeſt na Kawie u Jegomości, jeſt to Matka WPanny Dobrodziki?

KAROLINA.

Alboż to o tym WPan nie wiedziałeś; Ah jaka to miła Pani, jak Szlachetna, za pierwſzym jey weyrzeniem zdaie mi ſię, iż równie ją kocham, jak Pana Prezydenta Doras.

ALBERT.

Doras?....

KAROLINA.

Tak jeſt, cóż to WPana zadziwia? jeſt Przyjacielem naſzego Domu, na jego Rękach prawie wychowałam ſię, nie dziw więc, że go kocham równie jak Oyca.

ALBERT.

Jakże? nie przeczuwałoż ſerce moie, nie miałemże przyczyny smutku, który sam niewiem, zkąd pochodził. Teraz

po-

poznaję, że byłem oſzukanym. Ah! Karolino! zaſłużyłemże na to, ażebyś mnie....

KAROLINA.

Cóż to jeſt? co WPan mówiſz, w czymże to WPan byłeś oſzukanym?

ALBERT.

Dość już Mościa Dobrodziko, Pani ſię tu bawiſz, a Pani Baronowa czeka z Kawą.

FANI.

Pódźmy Panno Karolino. Pan Albert wolnieyſzego czasu będzie ſię mógł z tego wytłumaczyć, ſpodziewam ſię, iż to wcale w niewinney mysli powiedział.

KAROLINA.

Mospanie Albert, nie ſpodziewałam ſię tego, ażeby w ſercu WPana mieyſce miała zazdrość, ale teraz go zupełnie poznałam. Widzę, iż przywiązanie moje do Pana Doras, jeſt w podeyrzeniu u WPana, nie taię ſię z tym, kocham go, i dla czegoż niemam kochać? wychowana na jego rękach, uprzedzał moie potrzeby, i czegom nie śmiała u Oyca megoprosić, przez niego łatwo wſzyſtko otrzymałam, wyznać więc muſzę, że w wychowaniu moim drugim był prawie Oy-

Oycem. Nie mamże mu za to bydź obowiązaną? ſam Waspan tego jeſteś świadkiem, ſam wieſz, iż go dawniey kochałam, aniželi zaczełam doznawać miłości wcale różney od tey, którą jemu jeſtem winna. Dla czegoż WPan widząc to pierwey, niż mi ſię oświadczyłeś z swoią miłoscią, nie okazałeś tey zawiści, którą teraz na nim poſtrzegam, a zaręczam, iż choć już kochałam WPana, prędzeybym jednak odrzuciła jego oświadczenie, aniżelibym przewiodła na sobie, nie kochać tego, który ....

ALBERT.

Ach! naymilſza Karolino dopuść....

KAROLINA.

Nic, nic więcey nie ſłucham, przewidziałam moie umartwienie, otoż ſię ſpełniło, idźmy kochana Przyiaciołko.

ALBERT.

Mościa Dobrodziko, chciey mnie moment poſłuchać.

KAROLINA.

Mówiłeś WPan, że Pani Baronowa czeka na Kawę, nie mogę ſię więc dłużey bawić. (*odchodzi.*)

FA-

FANI *do Alberta.*

Uſpokoy ſię WPan, niech ją ominie pierwſzy zapęd paſsyi, a zaręczam, że ſię pogodzicie. (*odchodzi*)

ALBERT, (*za odchodzącą.*)

Ah! Pani, wſtaw ſię za mną, tyle jeſteś poważaną u całey Familii, że iedno jey ſłowo, wſzyſtko zrobić potrafi.

SCENA XII.

ALBERT potym sam LUDWIK.

ALBERT.

Y potrzebaż mi jeſzcze było przydawać sobie umartwienia, potrzebaż mi było ile w dniu dziſieyszym bydź powodem jey nieſpokoyności.... Przyiść do ſiebie nie mogę, ſam niewiem zkąd mi ſię wzięło mieć podeyrzenie o tym cnotliwym Starcu... Ah! gdyby ſię tylko on o tym nie dowiedział.... ale nie mam ſię czego obawiać, żadnego tu świadka nie było prócz Fani, o nią mogę bydź ſpokoynym. Nie.... nie ſpodziewam ſię, ażeby jey gniew trwał długo. Fani; ta miła Panienka przeproſić ją potrafi, a jeżeliby ſię nie dała przebłagać, wtedy udam ſię do jey Brata, a ten u niey wiele

mo-

może.... ale otoż i on sam; ach wyznam mu wprzódy mόy wyſtępek, tak ieſt powiem mu!....

LUDWIK. *Wchodząc.*

Co?

ALBERT.

Ach! Moſpanie Ludwik, pódź WPan, dopomoż mi przeproſić Pannę Karolinę, wyſzła ztąd rozgniewana, a ja tego byłem przyczyną.

LUDWIK.

Rozgniewana? wielkie rzeczy, nie turbuy ſię nie jeſt ona ſtworzona do gniewu, w moment ią ominie, zaręczam.

ALBERT.

Nie, Mospanie, chciałbym tego momentu u nog jey wyznać ....

LUDWIK.

Uſpokoy ſię WPan, mam mu nierównie większą donieść nowinę.

ALBERT.

Cóż takiego?

LUDWIK.

Pan Gierycht pisał do mego Oyca

w liście dziſieyſzym, że odſtępuie swoich pretensyi, i że ....

ALBERT.

Co uſtępuie? Ach! ta nowina trochę mnie czyni spokoynym, ale mi ſię temu niechce łatwo wierzyć, boby to był ośmy cud świata.

LUDWIK.

Tak jeſt w samey rzeczy, ale to pod kondycyą, zgadniyże jaką?

ALBERT.

Wcale ſię nie domyslam.

LUDWIK.

Oto w nadgrodę czyli w zamianie tego, chce mieć Sioſtrę moią za Zonę.

ALBERT *Na stronie z wzdrydnieniem.*

Nieba! co ja ſłyszę?

LUDWIK *Na stronie.*

Jak ſię zmienił nieborak na tę nowinę, żal mi go prawdziwie.

ALBERT *Na stronie.*

Tegoż jeszcze niedoſtawało do mojego nieſzczęścia?

LUDWIK.

No i cóż WPan na to?

ALBERT.

Ja ... tak jeſt.... Ja... (*myśli*) Niewiem.

LUDWIK.

Wcale tego nie rozumiem.... Ja.... tak jeſt.... Ja... nie wiem. Cóż więcey?

ALBERT *Na stronie*.

Ach! Jakżem nieſzczęsliwy.

LUDWIK.

Cóż to sam z ſobą rozmawiaſz?

ALBERT.

Wyznać to muſzę, co mi w tym momencie przyſzło do głowy ....

LUDWIK.

Słucham....

ALBERT.

Przypomniy WPan sobie ten moment, kiedy Oyciec Pana Gierycht, wyzuł nas ze wſzyſtkiego maiątku, przez podobny dekret, jaki ma teraz jego Syn na WPanow. Po zniſzczeniu ſię tak wielkim, gdzieby moi Rodzice znalezli byli przytulenie, gdyby nie....

LUDWIK.

Cóż to jest? Co Rodzice WPana mają do tego listu.... nic tego pojąć nie mogę.

ALBERT.

Gdyby tedy nie Oyciec WPana Dobrodzieja; przyiął nas do siebie, wcóżbyśmy się byli obrócili? o to podbno....

LUDWIK.

Ale co to wszystko ma do pretensyi Pana Gierycht, powiedz mi WPan krótko, bo o tym, co mi teraz WPan mówisz, wiem już bardzo dawno.

ALBERT.

Prawda. Daruy mi WPan, ta nowina podobno mi zmysły pomieszała.... Aleź Mości Dobrodzieju wiesz WPan Dobrodziey i o tym dawno, iż Panna Karolina jest celem życia mego. Utrata oney śmierciby się równała? lecz chętnie zniosę ten cios dla oswobodzenia tey Famili, która....

LUDWIK.

Dość tego, wszystko rozumiem. Ofiara ta WPana zależyż od niego samego, czy i od kogo więcey?... Wiem to, iż Panna

na Karolina równie WPana kocha, jak WPan ją; mógłżebym oswobodzenie swoie zakładać na umartwieniu waszym? nie, Albert, wcale nie mysl o tym, niech lepiey będę wyzuty z mego dziedzictwa, niech mnie raczey śmierć spotka, anizelibym miał żyiąc w roskoszy, patrzeć na Siostrę ulubioną, a jęczącą pod jarzmem tego, którego nienawidzi... Znam to iż utrata jey martwiłaby cię niezmiernie, lecz Panna Karolina nie miałażby więcey nierównie umartwienia od WPana: postradałaby się lubey roskoszy życia z tym, którego kocha, i do którego miłość jey prawie z latami wzrastała. Sam znasz, iż to byłoby jey ciężarem nieznośnym, aleź nie równie większym, gdyby jey przyszło pędzić całe życie z człowiekiem, którego nienawidzi, i do którego choć nayslodszych rozkazow, bardzoby jey było ciężko przywykać. Y mógłżebym ja żyć spokoynie, patrząc na waszе umartwienie? Nie Mospanie, nigdy tego nie uczynię. Słuchay mnie WPan, prawda, aleśmy się pod jednym wychowali. Zyimy tylko cnotliwie, nie funduymy swego szczęścia na upadku nie tylko samych siebie, ale nawet naymizerniey.

nieyſzego człeka, kochaymy ſię nieodmiennie, a naycięższe ubóſtwo dokuczyć nam nie potrafi.

ALBERT.

Łaſkawy Dobrodzieju, życie mi przywracaſz, lecz pozwoliſz mi sobie przełożyć jedną uwagę?

LUDWIK.

Jakąż to przecie? ſłucham.

ALBERT.

Ach nieſtety! roſtanie ſię naſze z Panną Karoliną prędzey czy późniey, koniecznie naſtąpić muſi.

LUDWIK.

A toż dla czego? nie kochaſzże ją WPan?

ALBERT.

Bardziey nad życie swoie, lecz kochaiąc ją, mogęż ją pogrążać w nędzę tę, w którey sam będę przymuſzony zoſtawać. Panna Karolina jeſt Dama godnego urodzenia, ma przymioty swoiey płci przyzwoite, wychowana w wygodach.... może zatym....

LUDWIK.

WPan mnie widzę probujeſz, cóż to ma znaczyć Mospanie?

ALBERT.

Nie Mości Dobrodzieju; nawet niemam potrzeby probować WPana, gdyż znam go od młodości.

LUDWIK.

Do czegoż ta uwagą ma bydź przyſtoſowana.

ALBERT.

Wiadomo WPanu, że jeſtem bez ſpoſobu, a gdy Jchmość będziecie wyzutemi z maiątku, co ſię ſtanie z WPanem, co z Oycem jego, a cóż dopiero ze mną? Ach! ta mysl serce mi rozdziera. Uważ więc WPan, czy mogę weyść w związki Małżeńſkie z Panną Karoliną?

LUDWIK.

Nie rozpaczay, miey raczey ufność w naywyższey Iſtności, która ſię opiekuie każdym ſtworzeniem, wkrótce cię uſpokoię. Wiedzże o tym, iż Pani Baronowa zapisała cały swóy maiątek Sieſtrze mo-iey, chciała była w prawdzie podział między nami uczynić, lecz ja sam tego przy-

jąć

iąć niechciałem. WPan w tym moię mieysce zastąpiłeś, ja zaś mam plac, który zawakował na Kantorze expedycyinym, a to jest Urząd Sekretarza, przy którym jest dochod dość znaczny, czekam tylko ukończenia interessow domowych, i jutro obeymę go.

ALBERT.

O Boże! co za radość. Ależ dla czego ja o tym nie wiedziałem.

LUDWIK.

Ta rzecz dopiero się wczoray ukończyła, i nikt więcey nie wie prócz mego Oyca i mnie, nawet to jest tayno Pannie Karolinie: nie wiem dla czego się tak Pani d' Artur podobała.

ALBERT.

Czy wie Pani Baronowa o moim przywiązaniu do Panny Karoliny?

LUDWIK.

Nic jey nie jest tayno. Podobałeś się jey WPan, i zupełnie się zgadza na pobranie się wasze.

ALBERT.

O wspaniały! i nader wspaniały Przyjacielu. Ileż nie powinienem bydź ci obo-

bowiązanym, nie przyiąłeś maiątku, który na ciebie spadał, nadto przykładasz ſtaranności do uszczęsliwienia mego.

LUDWIK.

Będzieſz ſzczęsliwym bez naymnieyſzego powątpiwania, będzieſz poſiadał cel miłości twojey. Lecz co ja to nie jeſtem ſwego ſzczęścia pewny. Ach moje ſerce! to ſerce nieſkażone naymnieyſzą iſkierką miłości, czegoż w tym momencie doznaie.

ALBERT.

Kochany Ludwiku, gdybym ci mógł bydź w czym uſłużny, gdybym ci mógł dopomodz, życie moie azarduię dla ciebie.

LUDWIK.

Nie wątpie o tym.

ALBERT.

Ale jak ſłyſzałem, że Panna Fani nieodmawia WPanu swey ręki, zoſtawiła to do woli Matki ſwoiey, która już przyjechała.

LUDWIK.

To też mię naybardziey martwi, gdyż dzień dziſieyſzy może bydź ruiną moiego szczęścia.

AL-

ALBERT *Na stronie.*

Zalterowany nieborak, muſzę mu mysl przerwać. (*głośno*) Ależ to dziwno, ta Dama tak grzeczna, tak cnotliwa i uymuiąca w tym ſtanie.... To rzecz do podziwienia. Już dwa tygodnie, jak do nas przyiechała, a nawet nie wiemy, kto ona jeſt, jakiego urodzenia.

LUDWIK.

Urodzenie bez cnoty, małoby jey zaſzczytu przynioſło, niechciałem ſię nawet o tym wywiadywać, ale i o tym, oczym bym chciał bydź uwiadomionym, nie mogę, taka jeſt w tym taiemnica. Fani wcale nie jeſt podobna na ſłużącą; muſi ona bydź jakiego dobrego urodzenia, lecz Fortuna....

ALBERT.

Jakimże ſię ſposobem ona doſtała do Pani Baronowey?

LUDWIK.

Mówiła mi moia Ciotka, iż tygodniem przed przyiazdem do nas, chodząc w polu, uyrzała jadące na wozie proſtym Fani i jey Matkę, która była bardzo potłuczona, ſpytana o przyczynę takowego przy-
pad-

padku, opowiedziała Córka z płaczem swóy ſtan i podróż. Przeieżdżaiąc o sześć mil od Folwarku Bedan przez moſt, gdy z jego zieżdzali, pękła im oś, że aż poiazd z moſtu upadł, w tym przypadku Pani Murer ſzkaradnie ſię potłukła, a że nie mogli nigdzie doſtac ſtancyi wygodnęy, więc jechali zoſtawiwſzy pojazd do Miaſteczka, które jeſt nie daleko Bedan, ale Pani d' Artur nie dopuściła im tego, i dała mieyſce u ſiebie rezydowania póty, pókiby ſię im podobało. Gdy tedy Baronowa wybierała ſię do Oldenſzurga, proſiła Fani, ażeby z nią jechała. Ta jak mogła wymawiała ſię niechcąc ſwoiey Matki, ile chorey, ſamey zoſtawić, ale po zapewnieniu Pani d' Artur, iż Pani Murer na niczym zbywać nie będzie, i że będzie mogła w domu, jak chcąc dyſponować, dała ſię na reſzcie nakłonić, jednak bardziey to uczyniła z poſłuſzeńſtwa Matce, niż z właſney chęci.

ALBERT.

Nie mogłaż ſię Baronowa wywiedzieć o nich zupełnie zkąd jadą?

LUDWIK.

Nic nie wiem, ale tak ſię ſpodziewam, iż Baronowa nicby przedemną nie taiła.

Lecz

Lecz co ſłyſzę, już ſię rozchodzą, muſi bydź po kawie, wkrótce tu jegomość nadeydzie. Ach! kochany przyiacielu, o jedną będę cię proſił łaſkę.

ALBERT.

Mógłże bym WPanu co odmówić.

LUDWIK.

Idź do Pokoiu moiey Ciotki; Pani Murer i Fani pewnie będą u niey, przyrzekła mi Pani d' Artur, iż jak będzie mogła, będzie kierować móy interes; uważay więc co Pani Murer odpowie, lecz nie tylko odpowiedź, ale i jey ruſzenie, ſtaray ſię obſerwować, rozumieſz mię więc?

ALBERT.

Ze wſzyſtkim (*na stronie*) o Boże dopomoż mi, ażebym mu mógł donieść pocieſzną nowinę. (*odchodzi*)

LUDWIK.

Ileż to umartwienia w jednym dniu zebrało ſię, ile intereſsów? Ach! gdyby prędzey uſpokoić Kredytora, gdyby prędzey zdać mu Kamienicę, przynaymniey miałbym ſpokoyną godzinę, a w tey mógłbym beśpecznie myslеć o mojey ulubioney Fani. O Fani.... kochana Fani! ty byś

mi

mi osłodziła moje wszystkie kłopoty, zapomniałbym o nich na zawsze, gdyby....

SCENA XIII.

LOTARY, LUWIK.

LOTARY.

(*Wchodząc, do Ludzi swoich za Kulisę*) Mówiłem już, ażeby wszystko było w gotowości, swoie rzeczy pozabierać w matelzaki, ale uchoway Boże ruszyć jaki sprzęt domowy, bo czy prędzey, czy późniey się dowiem, że którykolwiek będzie mi się ważył ztąd choć na szpilkę wynieść, to go odpędzić każe. (*do Parteru*) Choć i tak, wprawdzie będę musiał ich poodprawiać, bo gdzież ich będzie można posadzic, czym żywic, pozostawszy samemu tułaczem,

LUDWIK.

Nie Mości Dobrodzieiu, gdyby mi nawet przyszło pługiem orać, nigdy WPanu Dobrodzieiowi tułać się nie dopuszczę.

LOTARY.

Czy i WPan tu? nie wiedziałem. No móy Synu, ponieważ jesteś czuły na moie nieszczęście, zasługuiesz więc, ażebym

cię

cię kochał i błogosławił, jednak ostrzegam, ażebyś pługa nie kładł za ostatnie narzędzie do wyrobku, gdyż podług mego zdania, jest to żelazo nayszacownieysze. Sam to przyznasz, że gdybym z młodości był pilnował pługa, i was sposobił do uprawy roli, nie nosiłbym wprawdzie tytułu Pułkownika, a ty Porucznika, ale za to żylibyśmy swobodnie, a zamiast tych czczych honorow, mielibyśmy zasypane pełne zasieki zbożem, i niktby nas teraz nie tradował, Honory to nasze, honory uięły chleba. Ach! gdyby te żelaza, które wymyśł Ludzki urobił na rozlanie krwi niewinney, były obrócone do uprawy roli.... Ale daymy temu pokoy, powiedz mi raczey czy widziałeś się z Albertem?

LUDWIK.

Dopióro co odszedł.

LOTARY.

Mówiłeś mu, jaki list on mi dzisiay podał?

LUDWIK.

O wszystkim.

LO-

LOTARY.

Cóż? jak się pokazał, nie zmartwiłaż go ta nowina cokolwiek?

LUDWIK.

Z razu był się zmieszał, ale potym zdał się bydź spokoynieyszym, i oświadczył się, iż chętnie poniesie umartwienie dla oswobodzenia domu naszego.

LOTARY.

Wcale za to nie dziękuię, i owszem gniewam się na niego. Ale może to WPan czasem swemi uwagami byłeś mu do tego powodem? Uchoway Boże, bo kiedy się dowiem....

LUDWIK.

Nie Mości Dobrodzieju, wcalebym tego nie uczynił, i owszem perswadowałem mu. Był wprawdzie trochę upartym, ale potym swoie zdanie odmienił. Już tedy on jest zupełnie spokoynym, jest pewnym swoiego szczęścia, miłość jego będzie nadgrodzona. .. Ale moia...

LOTARY.

Bardzo w niedobry czas zacząłeś jey doznawać, prawda, dziewczyna warta jest kochania, i ledwiebym się niezało-

żył, że te kobiety są znacznego urodzenia, Matka jey w zapytaniach roztropna, w odpowiedziach uważna, ale tak obydwie maią coś taynego, że ich dociec nie można. Zdałem więc twóy interes, na moią Siostrę. Przyznam się, iż mocnobym sobie życzył nazywać Fanią moią Synową.

LUDWIK.

Jesli tylko WPan dołożysz starania, wszystko się stać może.

LOTARY.

A móy kochany, czy ja ją przymuszę, żeby cię kochała, sam się o to powinieneś starać.

LUDWIK.

Zdaie mi się Mości Dobrodzieju, iż nie potrafię tego dokazać, gdyż Fani mimo swego stanu, taką wzbudza ku sobie nieśmiałość, iż będąc przy niey, sama cześć.... uszanowanie....

LOTARY.

Cha! cha! cha! śmiać mi się chce z mego romansowego Amanta. No, no, bądź spokoynym, w twoim wieku nie należy o niczym rozpaczać. Jesteś czuły, młody, poczciwy, jeżeli kochasz, a nie jesteś

jesz-

jeszcze kochanym, to będziesz, zaręczam. Jey Matka okazuie wielkie przywiązanie do twojey Siostry, mówiła mi Pani d' Artur, że się miała zostać na parę Miesięcy. Ty już będziesz na Urzędzie, przez ten czas będziesz się mógł jey podobać. Ale daymy temu pokoy, ja tu po co inszego przyszedłem, a o czym inszym zacząłem mówić. Spisaneż są Regestra rzeczy, które się tu znayduią?

LUDWIK.

Ze wszystkiemi. ....

LOTARY.

Gdyż wątpie barzo, ażeby mnie się z nich zostało.

LUDWIK.

(*Wzdycha*) Ach!

LOTARY.

No, i czegoż wzdychasz, powinieneś owszem bydź spokoynym, gdyż odtąd nie będziemy się więcey turbować o oddanie tego długu, przyznam się, że nie mogłem nawet spać mysląc ustawicznie, zkądby go oddać, po kilka razy determinowałem się sprzedać Kamienicę i cały sprzęt na zaspokoienie mego Kre-

dytora, ale widzę, iż dwoie tyle nie wystarczyłoby na opłatę jego pensyi, bo choć to wszystko daleko więcey warte, gdym iednak podawał do sprzedaży, ledwo mi trzecią część wartości dawali. Niechay to będzie Szkoła dla ciebie móy Synu, żebyś nigdy długow nie zaciągał, byłbym ia tego nie uczynił, gdyby.... (*postrzegłszy się na stronie*) Cóżem chciał wymówić, i na cożby mi się zdało przed Synem czernić Matkę, którey iuż może i kości pogniły.

LUDWIK.

Niechcę się badać przyczyny zaciągania onych, wiem, iż Oyciec tak dobry, tak rostropny, musiał mieć nieodbyte potrzeby tego.

LOTARY.

Póydź, niech cię uściskam móy kochany Synu, twoie dobre serce wcale mi się podoba.

LUDWIK.

Powinnością iest moią stać się podobnym WPanu Dobrodzieiowi, ale gdy sobie wspomnę na Prezydenta Doras; Ach! ten, który lat kilkanaście mieni się bydź naszym Przyjacielem, który własnie

ſnie jak przez ſtaranność WPana Dobrodzieia zoſtał umieſzczonym na ſtopień Prezydenta, ten teraz podpisał Dekret jeſzcze tak ſurowy na ſwego dobroczyńcę.

LOTARY.

Utrzymay ten zapęd kochany Synu, a miey we wſzyſtkim umiarkowanie, czyż przez to, iż jeſt przyjacielem moim, ma bydź mniey sprawiedliwym, nie, móy Synu, Sędzia roztrząsaiący sprawę czy przyiaciela czy nieprzyiaciela, nie powinien nic więcey mieć przed oczyma, jak tylko Boga i sprawiedliwość, okazałbym ci tyſiączne tego przykłady, gdyby był czas po temu, jednak dość mi będzie, kiedy ci przypomnę owe wypisy z Gazety, któreś mi przesyłał, kiedyś był jeſzcze w Korpuſie Kadetów, pamiętaſz ów wypiſek umieſzczony w waſzym Monitorze, o tym Polaku, który będąc Marſzałkiem w trybunale, nie pamiętam w iakim Mieście, co to sądził własnego Oyca bydź winnym, i ſkazał go na wieżę. Bierz więc przykład z tego, iż świętſza jeſt rzecz ſprawiedliwość, aniżeli interes.

LUDWIK.

Sądzilibyśmy ſię nayſzczęsliwſzemi,

gdyby każdy tak myslał, ależ wiele to jest spraw, które oczewiście sądzone są przeciw wszelkiey słuszności.

LOTARY.

Może to bydź, lecz nam tego nie należy roztrząsać, bo żyie Bóg, który widzi serce każdego, i w miarę zasług jego odda zapłatę, lub ukarze. Ale cowidzę, Pan Gierycht przechodzi, zapewnie nas nie ominie, albo możei umyslnie do nas idzie po rezolucyą na list dzisieyszy, ale niech się nigdy nie spodziewa moiey Córki, chyba, że sama dobrowolnie....

LUDWIK.

Ach! nie.... nigdy tego nie uczyni, będąc w Pokoiu mówiłem jey o tym.

LOTARY.

Cóż ona?

LUDWIK.

Odpowiedziała mi, że WPanu Dobrodzieiowi we wszystkim będzie posłuszną.

LOTARY.

Nie, móy Synu, nie mam nad wami tyle mocy, ażebym waszym sercom mógł rozkazywać, od jey to własney woli będzie należało obrać, kogo sobie upodoba.

LU-

LUDWIK.

Kiedy tak, to Albert jest pewnym swoiego szczęścia.

LOTARY.

Zyczę ci z Serca, ażebyś to o sobie mógł powiedzieć.

SCENA XIIII.

Ci sami. GIERYCHT.

GIERYCHT.

O kłaniam, kłaniam, kochany Przyiacielu, mocno się cieszę że go w miłym zdrowiu oglądam.

LOTARY.

Im bardziey starzeię, tym zdrówszym się bydź zdaię.

LUDWIK.

Y Pan Gierycht pewnie przyiechał po satysfakcyą Dekretu, która ma dziś nastąpić.

GIERYCHT.

Bynaymniey, mości Panie Ludwik, bynaymniey: nie myslałem bydź uprzykrzonym, wcale jest insza tego przyczyna.

LO-

LOTARY.

Na dziſiay termin naznaczony, ſprzęty iuż ſą spisane, Inwentarz ze wſzyſtkim jeſt gotowy.

GIERYCHT.

Uchoway mię Boże, ażebym WPanu Dobrodzieiowi miał jakowąś przykrość czynić, owſzem jesliby mi Pan w czym rozkazał ſłużyć, Beſel jego jak nayſolennicy będzie exekwowany. Co ſię zaś tycze sprawy, przyſięgam na móy honor, że nawet nie wiedziałem, jak ſię rozpoczeła, kiedy ſię zkończyła, ale móy Adwokat jak w innych zdawał ſię mi bydź opieſzałym, tak w tey zoſtał nadto pilnym. Jednak to ſię ſtało mimo woli moiey, zaręczam WPanu Dobrodzieiowi.

LUDWIK.

Na stronie. Przeklęty kłamca

LOTARY.

Adwokat WPana nic przez to nie wykroczył, uczynił tylko zadosyć ſwoiey powinności.

GIERYCHT.

Mocnobym mu był Obligowany, gdyby to był proces z kim innym, ale wno

ſzę

ſzę moią inſtancyą za nim, gdyż on niewiedział, że ta ſprawa jeſt z Teściem moim.

LOTARY.

Jeſzcze nim nie jeſtem.

GIERYCHT.

Prawda, moia w tym Mości Dobrodzieju wina, iż dawniey moią Intencyą nie odkryłem przed Padem Dobrodzieiem, ale mam nadzieię w dobroci jego, iż mi to łaſkawie darować zechceſz, gdyż tłum Intereſsow nie dozwalaią mi momentu ſpokoynego.

LUDWIK.

Obarczony Intereſsami, niewiem, jak WPan ten moment na próżnowaniu trawiſz.

GIERYCHT.

Dla łaſkawego Teścia gotow jeſtem i całe życie...

LOTARY.

Mówiłem WPanu, że jeſzcze nim nie jeſtem, kto chce mieć mnie Teściem, powinien ſię ſpytać moiey Córki, czy chce bydź jego Zoną. Idę teraz kończyć niektóre Intereſsa, do widzenia ſię

Mos-

Mospanie Gierycht: Jeżeli Karolina da WPanu słowo, możesz bezpiecznie mię nazywać Teściem.

LUDWIK. *Na stronie*.

Sliczna rezolucya.

LOTARY *Na stronie*.

Y mogłżebym stać się przyczyną nieszczęścia biedney Dziewczyny, do którey naymnieyszego nie mam prawa, która nawet nie wie, że nie jest moią Córką, nie... z własnego Dziecka nigdybym tey ofiary nie uczynił, *odchodzi a za nim Ludwik.*)

GIERYCHT *Na stronie*.

Po jego odpowiedzi, nie mam sobie co obiecywać, trzeba uderzyć w inną stronę Mospanie Ludwiku... Mospanie Ludwiku! *wstrzymuie Ludwika*

LUDWIK.

Cóż mi WPan masz powiedzieć?

GIERYCHT.

Nie musiał WPanu Jegomość nic mówić o tym liście, który do niego dziś rano pisałem.

LUDWIK.

Nie

Nie widzę przyczyny, dla czego jestem o tym pytanym.

GIERYCHT.

Wieszże WPan, że dzień dzisieyszy wyznaczony jest na zapłacenię moiego długu z pretensyami.

LUDWIK.

Wiem, i cóż ztąd?

GIERYCHT.

O to to, że jeżeli nie będę zaspokoionym, zatraduię im Kamienicę, która przez Licytacyą sprzedaną będzie.

LUDWIK.

Cóż daley?

GIERYCHT.

O to to, że podobno WPanowie wyiedziecie z niey tylko w jednych surdutach.

LUDWIK.

Mnieysza o to.

GIERYCHT.

Mnieysza o to? i WPan na to wszystko tak zimno odpowiadasz? a Mospanie gdyby mnie kiedy, czego Boże uchoway, podobny koniec spotkał, tobym się powiesił z desperacyi.

LU-

LUDWIK.

Nie miałeś mi WPan więcey nic powiedzieć? kłaniam. (*Chce odchodzić.*)

GIERYCHT. *Zatrzymuiąc go:*)

Proſzę ſię zatrzymać na moment, oto Mospanie Ludwiku mówmy z ſobą po Przyiacielſku, mocno mi żal WPanow, i gotów jeſtem wſzyſtkiego odſtąpić. Uważ WPan, wſzyſtkiego! to nie żarty, chciey mnie tylko dopomagać.

LUDWIK.

W czym takim?

GIERYCHT.

Oto przełóż ſwoiey Sieſtrze miłość moią, mam Maiątek, mam pieniądze, i WPanu przy niey nie zle będzie. Pamiętay WPan na to, iż lepiey jeſt mieć ſto Przyiacioł, niż jednego nieprzyiaciela.

LUDWIK.

Dobrze, żeś mi WPan to przyſłowie przypomniał, zanotuię go ſobie w pamięci. (*odchodzi*)

GIERYCHT.

Jak widzę, ci Jchmość drożą ſię z tą ſwoią pięknością, i chcą cóś więcey na

mnie

mnie wytargować, ale wątpię bardzo, że-
by tego dokazali... Oy! ażeby mi tylko capnąć tę piękną Karolinę, dopierobym pokazał Jchmościom, co umiem, ale nie-traćmy czasu, trzeba iść po Konsyliarzow, jak Pan Pułkownik obaczy, że nie żartem ſię zawiiam koło jego Kamienicy, upewniam, że ſię będzie proſił z ſwoią Karoliną, ale ja na ten czas będę drożſzym. (*odchodzi.*

Koniec Aktu pierwſzego.

AKT DRUGI.

SCENA I.

ALBERT.

O naymilſza Karolino, podobno przeznaczenie usadziło ſię do rozerwania wſpólnego ſzczęścia naſzego .. W jakieyże biedna rozpaczy zoſtawiona.... Ach! Serce mi ſię kraje, gdy sobie wſpomnę na jey ſtan nieszczęsliwy.... Nie, Ludwiku.... niemożemy obydwa razem bydź ſzczęsliwemi. Jeden z nas koniecznie powinien odſtąpić ſwego zamyſłu.... Lecz komuż to należy uczynić, czy mnie, który od was tyle dobrodzieyſtw odebrałem, czy tobie, który dla mnie tyle onych swiadczyłeś? nie, niemam ſię czego namyslać. Karolina już jeſt rezolwowaną, gdyż inaczey Ludwik nie będzie miał Fani .. O jak ten raz jeſt ciężki dla mnie... A cóż dopiero dla mojey Karoliny, która już opłakuje ſwoje przyſzłe utrapienie.

SCENA II.

ALBERT, FANI.

FANI.

Mospanie Albert, czy nie widziałeś

WPan

WPan Lorensa, służącego mojey matki?

ALBERT.

Muſi bydź w Ogieynie, wychodząc z Ogrodu widziałem go, że patrzał przez okno.

FANI.

Muſzę go więc poſzukać. (*chce odchodzić.*)

ALBERT.

Zatrzymay ſię WPanna, w moment go nadeſzlę (*odchodzi.*)

FANI (*sama*)

Wſzyscy tu pomieſzani, wſzyscy zasmuceni, jeden tylko Pułkownik zdaje ſię mniey na to uważać, nie będę ich dłużey trzymać w tey nieſpokoyności. Ach! gdyby prędzey Lorens.....

SCENA III.

FANI, MURER.

MURER.

Kochana Fani, nie widziałażeś tu na tey Sali Pana Alberta?

FANI.

Tylko co odſzedł. Jeſtże na co WPani potrzebny?

Ach

MURER.

Ach!....

FANI.

Cóż to jest? WPani widzę pomieszana, czy nowe jakie umartwienie?

MURER.

Nie wieszteż, co to za zamieszanie jest w tym domu. Chodziłam w Ogrodzie z Baronową d' Artur spacerem, po odeyściu Jey do Pana Pułkownika.... Ach! mówić nie mogę.

FANI.

Cóż się stało?

MURER.

Karolina, ta miła Panienka zostawiona w rospaczy, i pogrążona w naywiększym żalu, weszła w głąb promenady.... Przywiązanie moje do niey.... kochana Fani, póydź, póydź, może ją rozerwiemy.

FANI.

Pogrążona w rospaczy? i WPani żeś ją samą zostawiła?

MURER.

Biegłam za Albertem, który wszedł do tey Sali, chciałam się wywiedzieć o

przy-

przyczynie tego ſmutku. Ależ to mię barzo zaſtanawia, że Albert ią zoſtawił w tym ſtanie.

FANI.

Nie, Mościa Dobrodziko, nie traćmy czasu na próżno badaniem ſię, trzeba raczey biegać do niey, może ią gdzie znaydziemy. Ale otoż i Lorens.

SCENA IV.

Ciż sami LORENS.

LORENS.

Pani mnie kazałaś wołać?

FANI.

Tak jeſt: biegay do pojazdu, i przynieś mi Szkatułę, ale jak nayprędzey.

LORENS.

Alboż ja ią sam uniosę, wſzak to we dwóch jeſt co dzwigać, i przyſięgam....

FANI.

Cicho, nie krzycz tak, weź do pomocy Macieja.

LORENS.

A Koni kto będzie pilnował, lepiey

Pani

Pani day kluczyk, to ja przyniosę, wiele będzie potrzeba....

FANI.

Póydź precz, rob to, co ci każę.

MURER.

Nie sprzeciwiay się Lorens, chodźmy kochana Córko.

FANI *odchodząc.*

Tylko jak nayprędzey, rozumiesz?

LORENS *sam.*

Co to w tym jest skrytego, Pani nigdy ze mną tak przykro nie postępowała, jak dzisiay.... a ha.... ziedzże diabła.... zapewnie Madam przed nią powiedziała, o naszey dzisieyszey rozmowie.... niechce mi powierzyć kluczyka do szkatuły, dawniey tego nigdy nie czyniła, nie przewierzyłem się jey w niczym.... Tak, musiała powiedzieć, ani chybi, kazała przynieść Szkatułę, ażeby mi oddała moie zasługi, a potym puściła z kwitkiem. Trzeba się tu mieć na ostróżności. Maciey ten slepy Mazur, choć gaduła, ale człowiek poczciwy, pewnie u nich zastąpi moie mieysce.... trzeba się tu mieć na ostróżności, trzeba go odstręczyć.... ale

jak-

iakby to (*mysli*) Brawo, dobry projekt przyszedł mi do głowy, takiego mu duba poplotę, że ich jeszcze dziś porzuci, a ja się zostanę... Oy! co zagłupia bestya ze mnie, na co mi się było dziś rano badać, ja chciałem ich nastraszyć, a oni mię bardziey nastraszyli. (*odchodzi.*)

SCENA V.

GIERYCHT, dwóch KONSYLIARZY, i WOZNY.

Pierwszy KONSYLIARZ.

Ależ mospanie Gierycht zdaje mi się, żeśmy zawczasu przyszli, dopióro wpół do jedynastey.

GIERYCHT.

Nic to nie szkodzi, im prędzey, tym lepiey.

KONSYLIARZ drugi.

Może Pan Pułkownik jeszcze pieniędzmi zapłaci.

GIERYCHT.

Co zapłaci, a zkąd u kata, kiedy niema szeląga przy duszy: i gdyby Baronowa d' Artur nie przywiozła z swego Folwarku

ku wędliny, toby od kilku dni jeść nie mieli czego.

KONSYLIARZ Pierwſzy.

Taż ſama Baronowa może go weſprzeć, ſłyſzałem, że jeſt miłoſierna Pani.

GIERYCHT.

Dla tego też nic nie ma. Gdzie też WPan widziałeś, żeby który miłoſierny miał ſię dobrze? ten głupi gatunek ludzi kontent, kiedy kogo weſprze, a potym ſam chleba musi prosić.

KONSYLIARZ drugi

Jednak widziałem i miłoſiernych i majętnych.

GIERYCHT.

Nie wiem, ktoby to był taki? gdyż ja przyſięgam, że gdyby u mnie jaki żebrak trzy dni ſtał pod oknem, tobym mu ſzeląga nie dał. Ale powiedz mi WPan, co też ma WPanów Prezydent, który jeſt tak miłoſiernym, aż wſtyd weyść do jego ſtancyi? ſtary ſam niewie, co ma robić z pieniędzmi, aby tylko doſtał pensyą, tak zaraz albo areſztanta wykupi, którego ſam pierwey dekretuie, a nie, to na ſzpitale rozdaie; niechże ſię tylko jaki łaydak nawinie, albo jaka kobieta, a

do

do tego jeſzcze z dzieckiem na rękach, to gotów nawet zapożyczyć ſię, a nigdy darmo nie odpuści Co też ma w ſtancyi? oto lepſze ſprzęty u Adwokata, niżeli u niego.

KONSYLIARZ pierwſzy.

Mimo tego, ma powſzechną miłość, i u wſzyſtkich jeſt poważany.

GIERYCHT.

Ey co mi po miłości i po takiey powadze, kiedy puſtki w kieſzeni.

KONSYLIARZ drugi.

Słyſzałem jednak, że Pani d' Artur pod czas kontraktow poddawała swóy zameczek na zaſtaw, jedynie na zapłacenie WPana pretensyi.

GIERYCHT.

A kto jey tyle da, wiele potrzeba? Wſzak to ſamego długu, oprócz różnych expenſow, więcey jak pięć tyſięcy Czerwonych złotych, a ja za jey cały Maiątek nie dałbym w podobnym razie i tyſiąca.

KONSYLIARZ pierwſzy.

A Mospanie, co też WPan mówiſz, pamiętam, iak podawano w Taryffie po oſtatniey luſtracyi, że ten Folwark wy-

nosił intraty roczney do tyſiąca Dukatow. Miarkuy też WPan, co on może bydź wart?

GIERYCHT.

Nie przeczę temu, iż nierównie jest wart więcey, i móy Przyiaciel Ratówkin-Jud dałby jey dawno tę Summę na zaſpokojenie może, ale baba uparta, niechciała wydać wexlu na drugie tyle, dla tego nie doſtała pieniędzy.

KONSYLIARZ drugi.

Wexel na drugie tyle, a już też to bez sumnienia.

GIERYCHT.

A Mospanie! na bok tam sumnienie gdzie idzie o pieniądze, a potym przysłowie nieſie, wtedy łyka drzeć, kiedy ſię dadzą.

KONSYLIARZ pierwſzy.

Gdzie ſię podzieie ten biedny Półkownik sam, troie Dzieci?

GIERYCHT.

A kto temu winien, na co darmo ziadów trzyma w domu. Syna Alberta odebrał z Regimentu, a diabli wiedzą po co. Ale jeżeli Córkę wyda za mnie, to może

że cokolwiek i odſtąpię. Bo też mówiąc prawdę, Sąd bardzo pociągnął za Panem Półkownikiem, ſpodziewałem ſię tego, gdyż Prezydent jeſt wielkim jego przyjacielem.

KONSYLIARZ drugi.

Y owſzem powſzechnie mówią, że nadto surowy dekret. Jakoż w samey rzeczy, nie zoſtawuie ich, jak tylko w tym, w czym chodzą, a reſztę wſzyſtko na zaſpokoienie WPana.

GIERYCHT.

Surowy.... ja żądałem, ażeby, jeżeli czego niedoſtaje, ſamego i Syna w ſadzić do....

KONSYLIARZ pierwſzy.

Dość tego Mospanie, jeſteśmy proſzeni od WPana do wyexekwowania dekretu, nie ſłuchania niegodziwych jego andronow. (*patrzy na zegarek*) dopióro jedenaſta, jak pora będzię, możeſz WPan przyiść do nas, będziemy ſię znaydować pod złotym Lwem.

GIERYCHT.

Ależ Mościpanowie, chodźmy przynaymniey do Pana Pułkownika.

KONSYLIARZ drugi.

Nie mamy jeszcze po co. Do obaczy ska Mości Panie Gierycht. (odchodzą

GIERYCHT. do Woźnego.

Słuchay no, przynaymniey się ty zo stań, żebyś, jak czas będzie, poszedł p nich.

W O Z N Y.

Mości Dobrodzieiu, Summa WPan dość znaczna, za którą masz Kamienic tradować, spodziewam się od niego do stać przynaymniey z pięć Dukatów, ma ich WPan mnie później dać, day m ich lepiey teraz, a z ochotą będę pełni jego rozkazy.

G I E R Y C H T.

Pięć Dukatow, a oszalałżeś ty, nie sły szałżeś, co to Konsyliarze mówili, ż trzeba bydź miłosiernym i sumniennym a ty mię się ważysz prosić o pięć Duka tow?

W O Ź N Y.

Prawda, ale słyszałem też WPana mó wiącego, że w tedy łyka drzeć, kiedy się daią.

G I E R Y C H T.

Komu się daią, a tobie się nie dadzą.

WO-

WOZNY.

Do nóg upadam Mości Dobrodzieiu, znaydzieſz mię WPan, kiedy będzie potrzeba pod białym Jeleniem. (*odchodzi*)

GIERYCHT. *sam.*

Idzcie na złamanie ſzyi. Proſzę ich tu ſpolować, tamci poſzli pod złotego Lwa, ten pod białego Jelenia, dobrze, że czwartego niema, boby mi kazał ſię ſzukać pod czarnym Oſłem. Boday nikt nigdy dobry nie doczekał mieć ſprawy. Ależ ja ſię tu bawię, a godzina upływa, mógłbym tym czasem co pomówić o Pannie Karolinie, lecz mogę jey bydź pewnym. Prawda, że głupſtwo naywiękſze robię, uſtępuiąc tak wielkiey Summy za iedną kobietę, i cóż robić, inaczeybym jey nie doſtał. Szkoda, Kamienica piękna, do tego i ogrod, prawdziwie dwa razy więcey warta, jak moje pretensye. Ale ja ią i tak będę miał, bo i cóż ztąd, że im dam kwitacyą z pretenſyi, będą mieli dom, ale nie będą mieli czego jeść. Wſzyſtko to, jak widzę, będzie moie, będę miał i Zonkę, i Kamienicę.

SCE-

SCENA VI.

KAROLINA *sama zapłakana.*

Gdzie ſię tylko obrócę, nigdzie pociechy znaleść nie mogę, już nie maſz żadney nadziei uniknienia tego nieſzczęścia. Gierycht poſzedł do pokoju mego Oyca.... może ... lecz nie; mówił mnie Brat, że Oyciec do woli moiey oddaie. O kochany Oycze, czemuż mię raczey pod poſłuſzeńſtwem nie nakażeſz ſzlubować temu, o którym nawet wſpomnieć nie mogę. Mówiſz, że nie masz prawa nad moim sercem, i że niechceſz mi bydź tyranem, a jaż będąc twoią Córką, mamże nim bydź względem ciebie.... Nie.... póydę raczey za przeznaczeniem.... O! Gierycht, nienawidzę cię, i znam, że cię kochać nigdy nie będę mogła, ale będę ci ſię ſtarała podobać. (*mysli*) Murer nie dla czego inſzego odwleka rezolucyą, jak tylko, ażeby po zatradowaniu Kamienicy, ztąd mogła odiechać. Trzeba więc temu zapobiedz, a dla zaspokoienia Oyca i Brata, uczynić z ſiebie ofiarę.... Ale ty.... ty nieſzczęsliwy kochanku, gdzie ſię obróciſz, jużże cię więcey nie będę oglądać. Już te pożegnanie ſię nasze ma bydź oſtátnie, bydź to mo-

może.... Lecz Serce moie nigdy cię kochać nie przestanie. Ach! miłość, ta pas-sya musi mieć nad nami samowładne panowanie. W ten moment zdaie się Albert mi bydź milszym, kiedym o nim zapomnieć powinna. Utracam cię więc luby Albercie kochanku, lecz nie ja jedna z utraty ciebie będę zmartwiona. Ja tracę kochanka, a dom przyiaciela.... Gierycht ... zkąd mu się wzięło starać się o mnie, nigdy o tym nawet ani wspomniał, musiał się kto jeszcze przyłożyć do tego ... musiał.... (*przechodzi się*) Ach! siły utracam, gdy sobie rozważam dalszy ciąg Zycia moiego (*siada przy stoliku i zasłania się chustką.*)

SCENA VII.

KAROLINA i DORAS.

Karolina siedzi wsparta ręką na Stole zamyslona.

DORAS *tonem ponurym nie widząc Karoliny.*

Podobno to już ostatni raz przychodzi mi ten dom odwiedzać, wkrótce uyrzę w nim wielkie zamieszanie. .. Ach! Skryte są Sądy naywyższey Istności.

Ten

Ten dom przed lat dwudzieſtą był obſity we wſzyſtko, dziś przez jedną kobietę jeſt opatrywany. O! nieſzczęśliwy przyjacielu, nie doznawałeś tych nieſzczęści, pókiś mnie zbrodnia w twóy dom nie przyiął. Ach! za moie to wyſtępki podobno muſiſz pokutować. Jeżeli tak jeſt, Boże! dotkniy mnie raczey śmiercią, a oswobodź tego, który od wſtąpienia mego w jego progi, iuż począł upadać, a teraz ginie ze wſzyſtkim. O! Lotary wziąłeś moią Córkę na wychowanie, a za nią wszyſtkie nieſzczęścia w dom twoy wpłynęły.... Dorys.... kochana Dorys... twoje to łzy ściągaią pomſtę, nie tylko na mnie, ale nawet na tych, którzy ſię mną opiekuią.... Znam, że za zdradę ciebie kochana przyiaciołko, nie jeſtem godzien tego, iż mi Słońce równie jak innym świeci, na mnie więc jednego niechay kara twoia ſpadnie. O! Boże, lecz przepuść tym, którzy brzydzą ſię moią zbrodnią. O Dorys, naymiſza Dorys, gdyby mnie przynaymniey Nieba pozwoliły przed zawarciem powiek moich upaść ci do nog, i proſić o przebaczenie, choć znam to, iż nie wart jeſtem tego, ale znam też twoie ſerce, żebym go z łatwością otrzymał.

KA-

KAROLINA *porywaiąc ſię.*

Cóż to jeſt, co za hałas, czy nie już.... Ach! WPan to jeſteś Mości Prezydencie.

DORAS *zdziwiony z przelęknieniem.*

Co ja widzę, co WPanna robisz w tey Sali, dawno przyſzłaś, czy nie podſłuchałaś mnie czasem?

KAROLINA.

Nie, Mości Dobrodzieiu.... wcale nie, ſama nie wiem, co ſię ze mną dzieje. Jeſtem tu na Sali od kilku momentow, jednak nic nie ſłyſzałam.

DORAS, *pomieſzany.*

Nie widziałaześ mnie WPanna?

KAROLIKA.

Nie: gdyż ja za naypierwſzym uyrzeniem WPana, dałabym ſię mu ſama widzieć.

DORAS.

Jednak mówiſz, iż od kilku momentow jeſteś na tey Sali, cożeś tu robiła?

KAROLINA, *niespokoyna.*

Ach! Mości Dobrodzieju, ſama niewiem: ten moment zdał ſię dla mnie,

czy

czy ſnem, czy zachwyceniem, kiedym WPana wchodzącego nie widziała.

DORAS.

Jeſteś, jak widzę, roztargniona. Oświeć mnie, co to ma znaczyć.

KAROLINA.

Nieſzczęśliwy ſtan móy, a tak nie ſzczęśliwy, w jakim jeſzcze nikt ſię nie znaydował.

DORAS, *Na stronie.*

Ah! czy tylko nie podſłuchała, albo czy nie jeſt uwiadomioną o wſzyſtkim, gdyby tak było, zoſtałbym w naywiękſzey rozpaczy. (*Głosno:*) Cóż to jeſt, ſtoiſz zamyślona?

KAROLINA.

Tak Mospanie, wyznam roztargnienia moie, wyznam mu pomieſzanie, i nieſpokoyność, która mnie trapi. Ten bowiem, którego nad życie kochałam, ten . . Ah! i mówić nie mogę.

DORAS, *Na stronie.*

O Boże! może już wie o wſzyſtkim.

KAROLINA.

Tak jeſt, o wſzyſtkim.

DO-

DORAS.

Ktoż ci to powiedział?

KAROLINA.

Pan Ludwik.

DORAS.

A jemu?

KAROLINA.

WPana naywiękſzy Przyiaciel, a móy...

DORAS, *przelękniony*.

O Nieba! zdradzony jeſtem.

KAROLINA.

Cóż to jeſt, co ſię to ma znacyć? WPan zdradzony, przez kogo? Ah! Mospanie, czy nie WPan żeto jeſteś przyczyną moiey zguby i moiego nieſzczęścia?

DORAS.

Tak jeſt, ja to jeſtem, ja przyczyną twoiey zguby. Ja przyczyną wſzyſtkich nieſzczęść tego Domu.

KAROLINA.

WPan? o Boże! Co ja ſłyſzę. (*upada oſłabiona, Doras ją wstrzymuie*)

DORAS.

Karolino, kochana Karolino!

KA-

KAROLINA, *wyrywaiąc mu ſię.*

Puść mnie WPan, puść okrutny, nie używay tego wyrazu więcey do mnie, był on mnie miły z uſt WPana w tedy, kiedym mniemała, żeś jeſt Przyiacielem mego Oyca i moim... Moznaż było inaczey ſądzić, na Rękach WPana wychowałam ſię, widziałam jego przychilność do nas, a teraz pokazuieſz ſię być zdraycą, i nie dość, że pogrążyłeś naſz Dom w nayworkſzy upadek, pogrążaſz i mnie nieſzczęśliwą, i jeſzcze na dobitkę przychodziſz ſam ſię z tym wyznawać.

DORAS, *na stronie.*

Co ſię to znaczy, wcale tego nie rozumiem.

KAROLINA.

Stroniſz WPan nawet, niechceſz ſłuchać wyrzutow, które... Ale cóż to jeſt... Co za poruſzenie nadzwyczayne w ſercu moim uczułam, nadtom ſię widzę uniosła paſsią, czuię żal nieznośny, żem ſię tak oſtro obeſzła, czuię, iż przywiązanie do WPana bierze górę nade mną. Daruy to, daruy ułomności moiey, prawda, iż wyznanie WPana, jeſt dla mnie wyrazem nayokropnieyſzym,

gdyż przez ten jego postępek przyidzie mi utracić, albo Alberta, którego nad życie kocham, albo widzieć Oyca w upadku, i Brata nieszczęśliwym.

DORAS, *Na stronie.*

Ah! oddycham przecie, nie mogliśmy się widzę rozumieć.

KAROLINA.

Prawda, że mnie czeka wielkie umartwienie, lecz jestem młoda, przywyknę do wszystkiego. Wreście choćby i Oyciec miał WPana w nienawiści, ja go nigdy kochać i poważać nie przestanę.

DORAS, *Na stronie.*

Poznaię po tey mowie, że jeszcze nie wie o niczym (*głośno:*) Kochasz mnie więc Karolino?

KAROLINA.

Równie jak rodzonego Oyca, i wyznać muszę, iż więcey mam do WPana śmiałości, niż do tego, który mi dał życie.

DORAS.

Pierwszy raz od ciebie słyszę podobne wyrazy.

KAROLINA.

pierw-

Pierwſzy raz też zoſtałam przez niego tak zmartwioną, poprzedniecze bowiem wyznanie WPana, żeś ſię przyłożył do naſzego nieſzczęścia, zamieniło w mym ſercu miłość w nienawiść, lecz ta znowu zdaie ſię powracać.

DORAS.

Ale ktoż ci to mówił, żem ja ſię do niego przyłożył.

KAROLINA.

WPan ſam.

DORAS.

Ja zaś?

KAROLINA.

Nikt więcey.

DORAS.

WPanna mówiłaś, że jey Brat o czymsiś donioſł.

KAROLINA.

To tylko, że Pan Gierycht uſilnie ſię ſtarał o moią Rękę.

DORAS. *Na stronie.*

Dzięki Niebu, jeſzcze o niczym nie jeſt uwiadomioną.

KAROLINA.

Jednak ja temu nie wierzę, żebyś nawet

wet kiedy mógł pomyślić przyłożyć się do naſzego upadku.

DORAS.

Ah!

KAROLINA.

Miałaż to bydź prawda, niechcę nawet myśleć o tym.

DORAS.

Nie, naymilſza Karolino, to moie wyznanie, było tylko momentalnym obłąkaniem, oſzukaliśmy się oboie, nigdybym. . . .

KAROLINA.

Nic więcey niechcę wiedzieć. Ah! ten moment jeſt dla mnie nayſzczęśliwſzym, gdy WPana widzę niewinnym.

DORAS.

Powiedźże mi, co jeſt przyczyną twoiey niespokoyności, czy nie Oyciec... może czasem przymuſza, ażebyś dała rękę?

KAROLINA.

Nie, Mospanie, znaſz WPan mego Oyca dawniey odemnie, obchodzenie się jego z nami, zawſze jeſt jednakowe, do woli moiey oddaie. . . Ja zaś ſama nie wiem, jak mam poſtąpić w tym razie.

DORAS.

Ponieważ ſama ſobie nie możeſz poradzić, życzę udać ſię do Oyca, jeſt roſtropny, umiarkowany, a do tego kocha WPannę.

KAROLINA.

Prawda, przyznaię to: jednak wyznać muſzę, iż ſama niewiem, co ſię ze mną dzieie, znam to, że mnie Oyciec kocha, nawet zda ſię uprzedzać chęci moie....

DORAS.

Tak i powinień mieć zaufanie u ſwoiey Córki.

KAROLINA.

Kocham go, poważam go, lecz nie mam tey odwagi, co do WPana.

DORAS.

A to czemu?

KAROLINA.

Nic niewiem. Przyznam ſię WPanu, że co czynię na rozkaz Oyca mego, czynię to z poſłuſzeńſtwa, któremu jeſtem winna, ſłużyć zaś WPanu Dobrodzieiowi, uprzedzać jego chęci, mówić z nim, ſłuchać rad jego, ſą momenta dla mnie nieopłacone, w przytomności Jegomo-

ści-

ściney ſkromność i uſzanowanie zdaią ſię bydź dla mnie prawidłami, lecz przy WPanu ſama ſzczerość ſerca mną rządzi, zkąd zaś to pochodzi, wytłumaczyć nie potrafię.

DORAS.

Wdzęczen ci jeſtem za to, a ponieważ WPanna zawſze moie rady przyimowałaś, ſpodziewam ſię, że i teraz nie odrzuciſz

KAROLINA.

Ah! nigdy.

DORAS.

Radzę ci tedy, ażebyś do Oyca ſwego z tą mówiłaś ſzczerością, z którą mówiſz do mnie, a uyrzyſz, iż wkrótce nabierzeſz do niego teyże śmiałości, co maſz do mnie (*Na stronie.*) O Nieba! co ja to cierpię, (*chce odchodzić.*)

KAROLINA.

WPan Dobrodziey odchodziſz. Ah! Mości Dobrodzieju, możem go tym wyznaniem uraziła. Zmiłuy ſię Panie, daruy mi to, a nie zoſtawiay mnie bez pocieſzenia.

DORAS.

O cóż ci idzie, nie podoba ci ſię Pan Gierycht? nie idź za niego.

KAROLINA *płacząc.*

A Oyciec móy... A Brat móy....

DORAS.

Brat Waspanny żąda tego?

KAROLINA.

Nic nie żąda. Ale jeżeli póydę za przywiązaniem, Brat móy utraci to, co bardziey kocha nad życie.

DORAS.

Brat zaś WPanny ſię kocha, a to w kim.

KAROLINA.

Widziałeś WPan Dobrodziey przed kilko dniami tę Panienkę....

DORAS.

Która przyiechała z Panią d, Artur, widziałem, i przyznaię, że jeſt warta kochania, jeżeli ma tak ſerce piękne, jak jeſt ſama.

KAROLINA.

W niczym ſię nie różni.

DORAS.

Cóż daley, Pan Ludwik chce ſię z nią żenić, a ona...

KAROLINA.

Oddała do woli Matki, która dnia dziſieyſzego przyiechała.

DORAS.

Y Matka jey tu?

KAROLINA.

Ach! żebyś WPan wiedział, co to za Kobieta, jak jeſt miła, jak uymuiąca, zdaie mi ſię, iż ją równie kocham, jak WPana.

DORAS.

Więc niech ſię do niey uda, a ſpodziewam ſię, że....

KAROLINA.

Pani d' Artur i ja jużeśmy jey o to mówili.

DORAS.

Cóż odmówiła wam?

KAROLINA.

Nie ze wſzyſtkim, zawieſiła tylko do ukończenia intereſsow naſzego Domu.

DORAS.

Nie naydłużſzy termin założyła.... Ach... Dziſiay ſię zapewne ſkończą. Cóż na to Pan Ludwik?

KAROLINA.

W naywiękſzey rozpaczy.

DORAS.

Dla czego?

KAROLINA.

Sądzi, że Pani Murer nie inſzą myślą odwleka, jak tylko, ażeby wiedziała, w jakim ſtanie będziemy ſię znaydować, i dla tego...

DORAS

Domyslam ſię reſzty, czeka tylko ſposobności wyiechania, dla tego podobno odwleka. Cóż WPanna myśliſz na to?

KAROLINA.

Ta uwaga ſerce mi przeſzywa. Mamże póyść za własną chęcią? nie, nigdy tego nie uczynię, wolę raczey całe życie ſama ponieść umartwienie, aniżeli widzieć Oyca.... Brata... Ach! ſiły mnie odſtępuią. (*ſiada na krześle, i wspiera ſię na stole*)

DORAS. *odchodząc.*

Już nie zniosę tego dłużey, co za zgryzota trapi ſerce moie, lecz to jeſzcze mało dla mnie za tak ſzkaradny wyſtępek, zaſługuię na to. (*Spogląda na Córkę, z naywiękſzym poruſzeniem odchodzi.*

KA-

KAROLINA. *wstaiąc.*

Pocieſz mnie WPan przynaymniey, nie odmawiay mnie tey łaſki. Lecz gdzież jeſt, gdzieś ſię podział, o okrutny Przyiacielu!.. Czyż dzień dziſieyſzy jeſt ſzczególnie przeznaczony na moie udręczenie? Wſzyscy unikaią odemnie, znikąd nie mam pocieſzenia. Ach! rozpacz mnie ogarnia.

SCENA VIII.

ALBERT, KAROLINA.

ALBERT.

Niech ją jeſzcze raz oglądam. Niech jey oddam oſtatnie pożegnanie.

KAROLINA.

Cóż widzę, on to?

ALBERT.

Ja to jeſtem, naymilſza Karolino, ja, który cię kocham nad życie.

KAROLINA.

Czegoż WPan chceſz? po co mi dodaieſz umartwienia?

ALBERT.

Przychodzę cię tylko uwolnić od przyrzeczenia, któreś mi uczyniła, gdyż o ym w ogrodzie zapomniałem.

KARO-

KAROLINA.

O nieſzczęśliwy ſtan móy,.. Nieſzczęśliwe życie moie, ale co tu robiſz? czas krótki, Ach! nadchodzi godzina umartwienia mego.

ALBERT.

Cóż cierpię w ten moment, po cóż mi było ſię wracać? przyimiy więc to oſtatnie pożegnanie.

KAROLINA.

Oſtatnie, Ach! to ſłowo śmierci ſię równa. O kochany Albert, jużże cię więcey nie uyrzę?

ALBERT.

W ten Moment... Wołałbym raczey śmierć, aniżeli życie.... Ale będę ſię ſtarał znieść ten cios, potrafię umrzeć dla oſwobodzenia mego Dobrodzieia, i uſzczęsliwienia Przyiaciela. Pozwol jednak, niech oczy moie, nim śmiertelne zawrą powieki, nasycą ſię twemi wdziękami.

KAROLINA, *do parteru.*

Y jakże, dám ſię powodować Paſsyi, którąbym powinna w ten moment przyprzytłumić? Czyż nie śmieſzna, wſtrzymy-

mywać ją dotąd: (*do Alberta*) Ach! odstąp już, odstąp ... Zostaw mnie samą.

ALBERT.

Z jaką ciężkością przychodzi mnie ten rozkaz wypełnić! Byway więc zdrowa naymilsza Karolino, bądź szczęśliwa, bo ja nim bydź nie mogę, byway zdrowa zawsze. (*odchodzi*)

KAROLINA.

O Boże, jakąż mękę ponoszę. Ach! Albert, kochany Albert. (*Bieży za Albertem, i Pada na szyię przychodzącego Gierychta*)

SCENA IX.

GIERYCHT KAROLINA.

GIERYCHT.

Nayniższy. Po tym uciskaniu mogę się spodziewać, że będę miał dobrą Zonę.

KAROLINA *przybieraiąc minę spokoyną.*

Otoż się zbliża godzina moich nieszczęść.

GIERYCHT.

Mocno mię to cieszy, że na pierwszym wstę-

wſtępie zoſtałem tak czule uściſkanym od WPanny Dobrodziki.

KAROLINA *na stronie.*

Cóż mu mam powiedzieć?

GIERYCHT.

Od Oyca WPanny Dobrodziki odebrałem już zezwolenie, idzie tylko o jey samey.

KAROLINA.

W czym takim Mości Dobrodzieju?

GIERYCHT.

W czym? a to śmieſzne pytanie, nieuwiadomiłże WPannę Jegomość o niczym?

KAROLINA.

O naymnieyſzey rzeczy.

GIERYCHT.

Muſiał więc zapomnieć, wielka ſzkoda; otoż ponieważ on zapomniał, tedy ja ią uwiadamiam (*z umizgiem*) Mościa Dobrodziko, tak zoſtałem przerażony jey wdziękami, iż zdaje mi ſię, że nie mogę żyć dłużey, nie będąc ich właścicielem.

KAROLINA.

Mocno mu jeſtem obligowaną za to.

GIE-

GIERYCHT.

Właśnie teraz mówiłem o tym z Panem Pułkownikiem, chodzi tu tylko o jey zezwolenie, ſpodziewam ſię więc, iż go z łatwością otrzymam, gdyż ja z ſiebie wielką czynię offiarę, i przyw tym razie ſięgam, że dla innych ſtu kobiet nigdybym tego nie uczynił.

KAROLINA.

Słyſzałam o tym (*na stronie*) co za męka, (*głośno*) Powinnością jeſt moią bydź Oycu we wſzyſtkim poſłuſzną.

GIERYCHT.

Wyśmienicie Mościa Dobrodziko.... Uważ WPanna pięć tyſięcy Czerwonych złotych, te nie piechotą chodzą.

KAROLINA.

Wieſz też WPan, iż jeſtem uboga, i nic za mną nie weźmieſz, prócz tego, co na mnie widziſz.

GIERYCHT.

Y serce, które mnie kochać będzie.

KAROLINA.

Ach! gdyby to mogło naſtąpić!

GIE-

GIERYCHT.

Naſtąpi, zaręczam, jak mnie WPanna poznaſz lepiey. Jakże, zezwalaſz WPanna na naſze Małżeńſtwo? ja zaś nic więcey nie żądam, prócz jey ręki.

KAROLINA.

Nim przyidzie do tego, że mu oſtatnie dam ſłowo, pozwol mi WPan jedną sobie podać kondycyą.

GIERYCHT.

Byle nie więcey, chętnie pozwalam. No ſłucham.

KAROLINA.

Wiadomo WPanu Dobrodziejowi, jak moja Familia jeſt w biednym ſtanie.

GIERYCHT.

To nie tylko ja, ale już cały świat o tym wie, lecz im ſię zoſtaie kamienica.

KAROLINA.

Y nic więcey? to mię też naywięcey martwi. Ale ponieważ my jedną będziem ſkładac Familią, uczyń mi WPan przyrzeczenie, że całego naſzego domu potrzebami zechceſz ſię zatrudniać.

GIERYCHT.

Całego domu potrzebami?

KAROLINA.

Tak jeſt.

GIERYCHT.

Jak to, wytłumacz mi WPanna jaśniey.

KAROLINA.

To jeſt: iż nie odmówiſz im wſparcia, którego pewnie będą potrzebowali.

GIERYCHT.

Y owſzem i owſzem, a od kogoby ſię Pan Półkownik mógł spodziewać, jeżeli nie od ſwego Zięcia, bądź WPanna pewną, że mu nigdy nie odmówię.

KAROLINA.

Y przyrzekaſzże mi to WPan?

GIERYCHT.

Ależ Mościa Dobrodziko, o to nawet proſić nie trzeba, bo czy mógłżebym znieść, ażebym moiey Zony Oyciec miał u kogo inſzego pożyczać pieniędzy, nie u Zięcia, o mocnoby mię to gniewało.

KAROLINA.

Zdaieſz ſię mnie WPan nie rozumieć?

GIERYCHT.

Rozumiem, rozumiem, i bardzo rozumiem.

KAROLINA.

Ja mówię, iż WPan sam nie zniesiesz tego, żeby moja Familia nie tylko gdzie indziey miała pożyczać pieniędzy, ale nawet u niego samego.

GIERYCHT.

Y jakże, mam im darmo dawać?.. WPanna Dobrodzika będziesz miała to, co jey się będzie podobało, będziesz sobie wygodnie żyła, będziesz....

KAROLINA.

Wszystko to u mnie jest niczym, skoro Oyciec móy zostanie w nędznym stanie.

GIERYCHT.

Ba: otoż mi się podoba. Wieleż to WPanna obaczysz Imościow ieżdżąc karetami, których Oyciec bruki zamiata, a Matka rondle szaruie, a dla tego jest spokoyną, i nic to ją nie obchodzi.

KAROLINA.

Jaka się nie może nazwać podczciwą Córką.... ale co mi tam do inszych, o mnie to tylko mowa, jeżeli WPan dasz moiemu Oycu, Bratu i Bratowey, (gdyż się ma żenić) przy tym jey Matce rezydencyą i stół, w którym z swoich Fol-

war-

warkow, tedy z ochotą mu ofiaruię swoią rękę.... a jeżeli nie.

GIERYCHT.

A do tego Lokajowi, Kuczerowi, Pokojównie, Kucharce, &c. &c to mi Zonka (*na stronie*) Ja chcę, ażebym ią miał Gospodynią do opatrzenia domu, a ta mi każe tyle darmo ziadów karmić.

KAROLINA.

Widzę ja, że to nie nastąpi, zatym z naszego Małżeństwa pono nic nie będzie.

GIERYCHT *na stronie*.

Co tu począć, (*mysli*) Będę przystawał na wszystko, ale po Szlubie taką jey zaspiewam piosnkę, że o tey zapomni, (*głośno*) Mościa Dobrodziko, prawda, że to iest trochę za ciężko....

KAROLINA.

Komu, WPanu, który posiadasz tyle maiątku?

GIERYCHT.

Ach! jak on ciężko przyszedł, ale ponieważ inaczey bydź nie może, uczynię to, o co WPanna tylko mnie będziesz prosić.

KAROLINA *na stronie*.

O! Nieba, już po mnie.

GIERYCHT *na stronie.*

Zie diabła, że mnie oſzuka, możeby ſię potym chciała rozwieść, ale zkąd weźmie na expens?

KAROLINA.

Zabespeczyſzże mnie WPan to prawnie?

GIERYCHT *porywczo.*

Prawnie, prawnie, a to zkąd WPannie przyſzło, wykierowałbym ſię, jak widzę, nie zle.

KAROLINA.

Jesli to uczynisz, możeſz bydź pewnym moiey ręki.

SCENA X.

GIERYCHT, KAROLINA, LUDWIK, ALBET.

ALBERT *wychodząc za Ludwikiem.*

Kochany przyiacielu?

LUDWIK *w paſsyi.*

Utraciłeś go odtąd, proſzę nie tak mię nazywać.

GIERYCHT *na stronie.*

Czy ich diabli przyniesli, już byłbym dobił targu.

KA-

KAROLINA.

Cóż się to znaczy Bracifzku, jakaż jeft przyczyna niesnasek między WPanami.

ALBERT.

Mościa Dobrodziko, znafz WPanna to serce?

LUDWIK *w paffyi.*

Pełne obłudy, którey się nigdy nie fpodziewałem ... wychowany w tym domu, razem dzielący rozrywki, a teraz jedna odmiana naszego ftanu, od krywa jego podły charakter. Nie przymufzay się WPan, poznałem jego zamyft dziś rano.

ALBERT.

Naymilfza Karolino, Niebo i ty druga jefteście świadkami mojey niewinności, i tego, jak mi jeft nieznośno to mieysce opufzczać, niechże więc przyczyna tego, tobie tylko wiadoma będzie. Utay to w sobie kochana Karolino... a WPan Mospanie Poruczniku, fpodziewam się, iż swego czasu powrócifz mi nazad słodki tytuł przyjaciela (*odchodzi*)

KAROLINA *na stronie.*

Ach! Albert kochanku niefzczęsliwy!

GIERYCHT.

A tu widzę wſzyſcy powaryiowali, poſzedłbym o wielki zakład, że jedno drugiego nie rozumie.

LUDWIK.

Cóż to jeſt, co ſię to ma znaczyc?

KAROLINA.

Potrzebaż było do jego umartwienia jeſzcze ſię i W Panu przykładać.

LUDWIK.

Wcale tego nie rozumiem.

GIERYCHT.

A co, nie zgadłem, że jedno drugiego nie rozumie?

KAROLINA.

Nie, Braciſzku, Albert nie jeſt tak wyſtępnym, jakim go bydź ſądziſz, wkrótce ſię o tym przekonaſz, iż nie tylko nie zaſłużył na twoią niełaſkę, ale nad to wart naywiękſzego ſzacunku.

LUDWIK.

Ach! muſi to bydź jakaś w tym taiemnica wiadoma WPannie, proſzę cię, wytłumacz ſię z niey.

KA-

KAROLINA.

Słyszałeś WPan, że mnie prosił o sekret, winnam mu go dotrzymać.

LUDWIK.

Okrutna.... w takowym razie....

SCENA XI.

Ci sami LOTARY.

LOTARY.

Cóż to jest, czego WPan tak niespokoyny (*do Karoliny*) Waspanna płaczesz?

LUDWIK.

Ach! Mości Dobrodzieju, Albert nas porzucił.

LOTARY.

Jak to?.

LUDWIK.

Dopióro co wyszedł.

LOTARY.

Nie widziawszy się nawet że mną.

LUDWIK.

Ja mu tego nie dopuściłem, myslałem, iż, ieżeli nie moiemi, to przynaymniey

 Pan-

Panny Karoliny perſwazyami da ſię nakłonić do odmienienia ſwego proiektu, lecz gdy tu weſzliśmy, bardziey został nieporuſzonym w ſwoim uporze, i niebawiąc ſię odſzedł.

LOTARY.

Nie powiedziałże przyczyny?

LUDWIK.

Jeſt tu w tym jakaś taiemnica, o którey Panna Karolina jeſt wiadoma.

GIERYCHT. *do Lotarego.*

Mości Dobrodzieju jeſt już bliſko dwónaſtey, chciałbym....

LUDWIK.

Ach! Mości Dobrodzieju, pozwól WPan Dobrodziey, niech póydę, może jeſzcze nie wyiechał, może go gdzie znaydę, niech go przynaymniey przeproſzę za moią popędliwość?

GIERYCHT *do Ludwika.*

Ey Mospanie, jeſt to coś pilnieyſzego, życzyłbym WPanu nie przerywać, gdyż to idzie o WPanów maiątek.

LOTARY.

Majątek już nie jeſt moim, czekam tylko

ko godziny oddania go WPanu, Albert zaś tak dobrze jest, jak Synem, gdyż pod moim dozorem wychował się, z utraty jego mocnobym był zmartwiony (*do Ludwika*) A WPan nie masz się czego spieszyć, może byś go na próżno szukał, wiesz, że bez biletu za Bramę nie wypuszczą, którego teraz nie dostanie, bo o jedynastey godzinie Kantor zamykaią, przy otwarciu Kantoru o godzinie drugiey można będzie go znaleść.

LUDWIK *do Karoliny*.

Niechże przynaymniey będziem uwiadomieni o przyczynie tak nagłey odmiany Alberta.

KAROLINA.

Ach! Braciszku!

GIERYCHT.

Ależ Mości Dobrodzieju, chciałbym mieć odpowiedź względem Panny Karoliny.

LOTARY.

Jakążeś WPan od niey odebrał?

GIERYCHT.

Juzby była zezwoliła, lecz Ichmość przeszkodzili.

LU-

LUDWIK *na stronie.*

Co ſłyſzę? ach! domyslam ſię teraz.

LOTARY.

No kiedy jeſzcze ſłowa nie dała, ja jey rozkazuję, ażeby ſię z nim wſtrzymała, aż po zupełnym zaspokojeniu WPana, już czas bliſki, życzyłbym go darmo nie tracić.

GIERYCHT *na stronie.*

Rozumiem, chcą Ichmosć na mnie coś więcey wyciągnąć, ale nigdy tego niedokażą, trzeba iść poſzukać Konsyliarzow ... Och! gdybym mógł, tobym ich ze ſkóry poobdzierał. (*odchodzi.*)

SCENA XII.

LOTARY, LUDWIK, KAROLINA

LOTARY.

No Mośpanie Ludwiku, nagotuy WPan sobie Surdut, Kapeluſz, Szpadę, Laſkę, są to naſze całe ekwipaże, z któremi możemy śmiało wyiechać, przed zatradowaniem Kamienicy, nakażą nam przyſięgę, że po zapadłym dekrecie, prócz tego rekwizytu, nic więcey dla ſiebie nie wzieliśmy, którą śmiało będziem mogli

wy-

wykonać (*Ludwik odchodzi*) ty zaś Karolino weź tylko Salopę swoią, a więcey, uchoway was Boże, nic nie brać pod żadnym pretextem, żebym czasem niepopełnił krzywo-przysięstwa, gdyż wołałbym ostatniey koszuli pozbyć się, aniżeli naymnieyszą makułą obciążyć sumnienie, które maiąc czyste... i w to będąc ubogaconym, nie dbam na ubóstwo, które mnie czeka, człowiek bowiem posiadaiący naywiększe bogactwa, a niemaiący czystego sumnienia, nigdy się nie może nazwać szczęsliwym.

KAROLINA *całuiąc rękę Lotarego.*

Zachowuiąc nauki dawane nam od tak dobrego Oyca, nie można zbłądzić na krok z drogi sprawiedliwych.

LOTARY.

Cieszę się z tego, że przynaymniey tak trzymasz, ale spostrzegam, że ty nie zachowuiesz tych, którem ci dawał.

KAROLINA.

Ach! kochany Oycze, powiedz mi w czymże się przewiniłam?

LOTARY.

Niewdzięczna Córko, nie poczuwasz, że się do żadnego występku? nie jestże to wy-

wyſtępkiem taić ſwoie przedſięwzięcie przed Oycem? rozumieſz więc, że ſię niedomyslam przyczyny odjazdu Alberta, nie przyłożyłaż ſię i ty do niego?

KAROLINA.

Ach! Oycze móy, Albert sam na to zezwolił.

LOTARY.

Nie powinnażeś mi była tego oznaymić?

KAROLINA *klękaiąc.*

Daruy to, daruy kochany Oycze moie przewinienie, myslałam jednak, że niewykroczę zachowuiąc sekret, bośmi zachowanie onego WPan od młodości wpaiał.

LOTARY.

Sekret jeſt to zamek nayświętszy, i w ſpołeczeńſtwie ludzkim naybardziey potrzebnym, ale czy możeż ſię to nazywać sekretem, co ſię tycze moiey i waſzey ſpokoyności.

KAROLINA.

Myslałam, iż uczynię w tym przyſługę, czyniąc z ſiebie offiarę tę, którąm zawſze winna WPanu Dobrodzieiowi i Bratu, którego kocham.

LO-

LOTARY.

Mogłażby ona mi bydź przyiemną, nie byłożby to dla mnie przyśpieszeniem śmierci, miłeżby ci było życie z tym, którego nienawidziſz, mógłżebym ſpokoynym okiem patrzeć na twoie umartwienie; uważ tedy iakiśby w tym razie błąd popełniła, którego poprawić nie byłoby w naszey mocy, a zamiaſt przysługi, czy nie przyczyniłabyś dla mnie tym większego umartwienia.

KAROLINA.

Dobry Oycze, odtąd przyrzekam, że te uwagi WPana Dobrodzieia w gruncie serca mego zawſze będą zachowane, i będę ſię ſtarać ile możoności moiey nadgrodzić ten błąd który. ..

LOTARY.

Nie wątpię o tym, i dla tego ci to złatwością przebaczam, wſpominałaś mi coś o bracie twoim, kochaſz go, i on nawzaiem Ciebie, a kochaiąc cię mógłżeby bydź ſpokoynym, widząc twoie uſtawiczne umartwienie?

KAROLINA.

Poſiadaiąc jednak rękę Fani, którey, jak uważałam, inaczey nie pozyſka...

LO-

LOTARY.

Tak przez wtrącenie ciebie w nieszczęście: Jest to mysl bardzo płonna o twoim Bracie, nie jest on jeden z tych, którzy są gotowi wszystkich wspól-braci swoich utrapić dla dogodzenia swoiemu animuszowi. Pani Murer jest też kobieta dobrze myśląca, gdyby się więc tak stało, jak sobie ułożyłaś, a ona o tym dowiedziała się, zapewnieby nasz dom na zawsze pożegnała, a tym samym Brat twóy utraciłby to, co tak bardzo kocha.

KAROLINA.

Ach! Mości Dobrodzieiu, dopiero otwieram oczy nad słabością moią, o ileż mnie trzeba doświadczać i zastanawiać się nad każdym zdarzeniem, przyrzekam więc odtąd, że póki łaskawe przeznaczenie, czy mnie, czy WPanu Dobrodziejowi żyć dozwoli, żadney rzeczy nie będę czynić, nie poradziwszy się wprzód tak dobrego Oyca. (*całuie rękę*)

SCENA. XIII.

LOTARY, KAROLINA, BRYFFTYGIER.

BRYFFTYGIER.

Dwa bilety z Kantoru.

LO-

LOTARY.

Czy Kantor jeſzcze otwarty?

BRYFFTYGIER.

Przed samym zamknięciem przyſzedł jakiś Officer prosząc o Paſzport, któremu Sekretarz kazał ſię zatrzymać, a tym czasem mnie ſekretnie z temi Biletami do Pana tu przyſłał.

LOTARY. *biorąc Bilety czyta Adreſsy.*

Do rąk Pani d' Artur. (*mówi:*) To jeſt ręka Aberta, odnieś WPanna ten Bilet do Pani Baronowey.

KAROLINA *biorąc bilet.*

Co ſię to ma znaczyć? (*odchodzi*)

LOTARY *drugi bilet rozwija* (*czyta*)

„ Albert Kalen bywſzy Chorąży Gwar-„ dyi, proſi o bilet za Miaſto, a choć to „ nie ieſt w czaſie przyzwoitym, jednak „ nie odmówiłbym mu tego dla przyja-„ źni, którą mam z WPanem, ale, „ że ma minę barzo nieſpokoyną, i do te-„ go proſił, żebym bilet adreſsowany do „ Pani d' Artur iutro przeſłał, zatym umysliłem uwiadomić „ (*mówi*) barzo za to dziękuię Panu Sekretarzowi, i proſzę, ażeby mu biletu nie dawać, a

jeże-

jeżeliby wyſzedł gdzie z Kantoru, chciey go mieć móy Bracie na oku, i miey pilność na każde jego ruszenie ſię, a bądź pewnym nadgrody.

BRYFFTYGIER.

Bardzo dobrze. (*odchodzi.*)

SCENA XIIII.

BARONOWA, MURER, FANI, KAROLINA, potym LUDWIK.

BARONOWA.

Braciſzku, czego ja ſię dowiaduię.

LOTARY.

Cóż takiego?

BARONOWA.

Pan Albert nas porzuca.

LOTARY.

Nie ze wſzyſtkim.

BARONOWA.

Ależ wyraźnie piſze do mnie, oto Liſt.

MURER.

Jakażby tego była przyczyna?

LO-

LOTARY.

Zwyczaynie kaprys, i przywidzenie, ale nie trwoż ſię WPani, nie zginie on nam.... (*do Karoliny*) Czego ſię WPanna marſzczyſz, będzieſz go miała, zaręczam.

KAROLINA.

Ach! ta nowina ożywia mnie cokolwiek.

LUDWIK *wchodząc.*

Co to ma znaczyć, wſzyſcy pomieſzani?

FANI.

JPan Ludwik w Surducie.

BARONOWA.

Ależ wytłumaczcie mnie to jaśniey WPanowie, w Surdutach, przy Szpadach, czy także dokąd iść myslicie?

LOTARY.

Myślemy póyść ſobie, ſzukać noclegu, bo ten Dom dla nas dziś będzie zamkniętym.

BARONOWA.

To tylko? to jeſt rzecz bardzo mała, przed tygodniem o tym wiedziałam, niepotrzebnie nas trwogi nabawiliście.

LO-

LOTARY.

Bardzo mała, jak dla WPani, gdyż podług praw gościnności, maiąc w swoim Pokoju te dwie Cudzoziemki, bezpiecznie możesz po Tradycyi cały tydzień wysiedzieć, i nikt WPani ani słowa nie powie. Ale my z Panem Ludwikiem, i Albert...

BARONOWA.

No, nie turbuycie się WPanowie, zapraszam ich do siebie, to jest do mego Pokoju, będę im wszystkim rada, będziemy się jak mogli mieścili, a jutrzeyszego dnia poiedziemy do Zameczku.

LOTARY.

Cóż to WPani mówisz, chcesz, żebyśmy ją z nogami ziedli? alboż nas mało, obeyrzyno się WPani, a to jeszcze nie wszyscy.

BARONOWA.

Wszystkim będę rada, i spodziewam się, że moią ofiarę zechcecie przyiąć łaskawie, co sprawi we mnie ukontentowanie, wspierać mizeraków, przynosi rozkosz czułemu sercu; a cóż dopiero mieć staranie o podupadłey Familij. Bieda więc tym, ktorzy są nieczuli na upadek nędznego, nie doznaią bowiem tey radości, ile

ile się doznaie wspieraiąc równe sobie Jestestwo

FANI do Murer.

Kochana Matko, czy nie wartaż jest ta Familia lepszego losu?

MURER.

Przyznaię, ale ten wkrótce się odmieni.

BARONOWA.

No, jakże, nic mi nie odpowiadacie na to?... przystaiecież na móy proiekt, czy nie?... do WPana należy odpowiedzieć Panie Bracie... WPan zamyśliłeś się.

LOTARY.

Cóż ci mam na to odpowiedzieć, czy nie dosćże masz na tym, że ci łzy za mnie odpowiadaią, Ach! kochana Siostro, te małe zrzódełko jest dowodem wdzięczności, którą ku tobie jestem przeięty. Serce moie skaliste na naywiększe umartwienie i nieszczęścia nigdy nie wzruszone, twoią dobrocią tak zostało przeięte, iż pierwszy raz w życiu moim zdarzyło się uronić te kilka łezek... póydzcie kochane Dzieci... póydz Karolino... Ludwiku... odpowiedzcie wy za mnie, bomi już sił nie staie. (*Karolina i Ludwik całuią w ręce Baronową, Baronowa ich przyciska*)

FA-

FANI.

Co za widok przenikaiący, Ach! nie będę dłużey zwłoczyć tego.

MURER.

Wstrzymay się jeszcze cokolwiek, to nagłe wyiawienie się, mogłoby nasz proiekt zniszczyć.

BARONOWA *Przyciskaiąc.*

Dzieci moie kochane, jakżebym sobie życzyła widzieć was szczęśliwemi.

LUDWIK.

Nayduiąc się na Łonie tak dobrey i łaskawey Ciotki, nietrzeba sobie życzyć szczęścia większego.

BARONOWA.

Zapominasz się Ludwiku, przed godziną słyszałam cię inaczey mówiącego.

LOTARY.

Daruy to mu WPani, gdyż przywiązanie i miłość . . .

BARONOWA.

Ja mu przebaczam, ale może kto inszy . . , (*spoglądaiąc na Fanią*) Ale nie. . . za wstawieniem się naszym, spodziewam się. . . Lecz o czym my to mó-

wie-

wiemy, ta zbyteczna radość, jak widzę, zmyſły mi pomieſzała. Panie Ludwiku, czegoż WPan ſtoiſz, tak ſpuściwſzy oczy.

LUDWIK.

Mościa Dobrodziko, uſzanowanie nie dozwala mi.

BARONOWA.

Porzuciłbyś tę modeſtią *na stronie*. Teraz czas, kończmy więc intereſs (*głośno*: moie Dzieci przyciſkałam was dwoie do ſerca moiego, i wielkie mi to ſprawiło ukontentowanie, cóżbym za to nie dała, żebym was mogła uciſkać razem czworo. Naprzykład: z Panną Karoliną Alberta, a z Panem Ludwikiem, kochaną Fani. Pierwſze już pewne, ale z drugim trzeba ſię udać do Pani Murer.

LOTARY:

Moia Sioſtro, jeſteś trochę za prędka.

BARONOWA.

A WPan w takowym razie bardzo powolny.

LOTARY.

Fani jeſt zawſze warta lepſzego losu, i ſpodziewam ſię. . .

FA-

FANI.

Będę się sądzić nayszczęśliwszą, jeżeli się stanę godną znaydować w gronie ich Familij.

LUDWIK.

Ach! Pani, jeżeli nie pogardzisz tym, który od pierwszego weyrzenia oddał ci zupełnie serce, oto u nog twoich zaprzysięgam.

LOTARY.

Stóy Mospanie, nie przysięgay, żeby czasem przysięga twoia nie była daremna, Zapytay się pierwiey Matki, jeżeli na to pozwoli, gdyż waść nic niemasz.

MURER.

Nie, Mości Dobrodzieju, nie jestem jednego uprzedzenia z temi Matkami, które mniemaią, że mogą władać sercami Dziecinnemi, podług swego upodobania. Ja zaś oddaię do woli Fani. Znam jey sposob myślenia, że nie zakłada szczęśliwości swoiey na bogactwach, ale na szczerym przywiązaniu, którego jeśli się ma spodziewać . . .

LUDWIK,

Ach! Mościa Dobrodziko, możesz się WPani Dobrodzika o to pytać.

BA-

BARONOWA.

Ja ręczę za nim, ma ſerce nieſkażone, potrafi Zonkę ſzanować:

MURER.

Zezwalaſzże WPanna?

FANI.

Skoro wola WPani Dobrodziki z tym ſię zgadza, ja z całego ſerca zezwalam.

LUDWIK, *całuiąc w rękę Fanią.*

O naymilſza Fani, na nowo żyć zaczynam.

KAROLINA, *całuiąc w rękę Murer.*

Kochana Matko, pozwol mi ſię już tak nazywać, jesteś bowiem nią w ten moment. Ach! odtąd żadne umartwienie nie będzie miało do nas wſtępu, gdy będziem mieli jey przytomność.

FANI.

Biorąc jednak mnie ubogą?

LOTARY.

Ey Mościa Panno, wſzyscyśmy nie bogaci... Oy gdyby móy Syn oglądał ſię tylko na bogatę, muſiałby całe życie jałowieć.

BARONOWA.

A otoż i Pan Gierycht z Konsyliarzami...

LOTARY.

Idą ku ogrodowi. No móy Synu, póydz pożegnay się z temi kątami, między któremiś się wychował. Ale uchoway Boże, naymnieyszy pokazać smutek.

LUDWIK.

Odtąd nigdy go na moiey twarzy widać nie będzie, gdyż jestem umieszczony w sercu nayulubieńszey mi Osoby.

BARONOWA.

Co za odmiana, z tego ponurego tetryka, tak nagle stał się wesołym.

LOTARY, *biorąc za rękę Fani.*

Winszuię mu tego, znalazłszy bowiem skarb tak drogi, nie ma się czego smucić, no idzcie Panie do swego Pokoiu, a ja tu zostanę na ich spotkanie, Panie Ludwiku! odprowadz swoią Małżonkę. (*do Karoliny,*) A WPanna bądź dobrey myśli, nasz deserter będzie powrócony, a jak go przyprowadzą, złożemy kryzrecht, w którym ja będę prezydował, i osądziemy go na wieczne więzienie Małżeństwa, jako dezertera od Chorągwi miłości (*Karolina odchodzi, całując w rękę Pułkownika.*)

LOTARY ſam.

Dziś dopiero zaczynam bydź ſzczęśliwym w gronie ulubioney Familii, prawda, utracam maiątek, ale za to znayduię lubą dla mnie ſpokoyność, Synowi przeznaczone mieysce w Kantorze Pollicyinym, jeſt to urząd dobrze płatny, Albertowi także wyſtaram ſię gdzie o mieysce, bo i czego będzie ſiedział na karku u Baronowey, a ſam wziowſzy pod rękę Murer, jednego dnia do Syna, a drugiego do Córki, choć nie ſwoiey, ale co to ma do tego, ona o tym nie wie, a na letnią rezydencyą do Baronowey. Cha, cha, cha, poiąć ſię nie mogę z radości, że mam Synowę tak piękną i cnotliwą, dobrze, że nie jeſt bogatą, boby na nas i patrzeć nieciała. Ha, o toż nadchodzą.

SCENA XV.

LOTARY, GIERYCHT, DWOCH KONSYLIARZY, WOZNY, potym LUDWIK.

LOTARY.

O witam, witam łaſkawych Dobrodzieiow, mocno mię to cieſzy, że przynaymniey przy moim tryumfalnym wyiezdzie, odwiedziliście ſwego Przyiaciela.

KON-

KONSYLIARZ Pierwſzy.

Pan Pułkownik jeſt zawſze jednakowego humoru, żadne nieſzczęście go nie odmienia.

ŁOTARY.

Człowiek, który był Zołnierzem lat trzydzieście, nauczył ſię wſzyſtkiego doznawać.

GIERYCHT.

Jednak trzeba mieć kamienne ſerce, ażeby ſię nie martwiło z oſtatniego upadku.

ŁOTARY.

Skażone ſerca podpadaią takim namiętnościom, ale czyſte wſzyſtko znoſi wesoło, a do tego więcey mam przyczyny weselić ſię, aniżeli ſmucić, prawda miałem dnia dziſieyſzego trochę zmartwienia, a naybardziey, że mi Albert dezerterował.

GIERYCHT.

Martwić ſię zaś z tego, że jeden darmoziad uciekł? ja będąc na mieyscu WPana, dawnobym go z domu wypędził.

ŁOTARY.

Na to wolę zamilczeć, aniżeli na próżno odpowiadać.

KON-

KONSYLIARZ drugi.

Mości Pułkowniku, daruy nam, iż na mocy Dekretu Juryzdykcyi wexlowey, przyszliśmy uczynić satysfakcyą JPanu Gierycht.

LOTARY.

Wiem o tym, wiem, i mocno mię to martwi, że tak długo musiałem czekać na WPanow, możecie Waspanowie rozpocząć swoią robotę.

GIERYCHT.

Co za kamienny Człowiek.

KONSYLIARZ pierwszy.

Trzeba, ażeby nas kto oprowadził po całym tym mieszkaniu.

LOTARY.

Moie nogi spracowane na usługach Oyczyzny, już są słabe, nie mogę uczynić zadosyć ich żądaniom, ale zawołam mego Syna (*idzie ku drzwiom do Pokoiu Baronowey, i woła*) Panie Ludwiku, Panie Ludwiku, a on, jak widzę, nie może się nacieszyć z swoią Zonką (*Ludwik wchodzi*) No Mospanie, przysiadłeś się koło Zonki, a o Interessach zapomniałeś, będziesz miał dosyć czasu nacieszyć się

do

do woli, a teraz oprowadz Jchmościow po całym Mieszkaniu, a ja póydę odpocznę, bo czuię już bol w nogach (*chce odchodzić, i wraca się*) Ale, ale, Mości Konsyliarzu, zabespeczam sobie podłuk prawa gościnności nie dłużey, jak na parę dni tę stancyą, gdyż w niey stoią dwie Cudzoziemki.

GIERYCHT.

Ja na to żadną miarą nie pozwalam.

KONSYLIARZ Drugi.

Jeżeli WPan nie pozwalasz, tedy my nie możemy tradować, gdyż Prawo gościnności u nas jest w wielkim poważeniu,

GIERYCHT.

Dość już, dość, niech sobie i cały tydzien siedzą, dam im pokóy. (*Na stronie,*) Otoż spuść się tu na nich, po dwanaście Czerwonych złotych wzieli, i jeszcze mało mię nie zgubili.

KONSYLIARZ Pierwszy.

Zkądże zaczniemy?

LUDWIK.

Od tey galeryiki, (*odchodzą wszyscy.*)

SCE-

SCENA XVI.

MACIEY, LORENS, niosą Szkatułę.

MACIEY *mówi akcentem Mazowieckim.*

Zatrzymay ſię WPan trochę; bo mi ten przekłęty kuferek rękę urwie.

LORENS.

Już niédaleko,

MACIEY.

Arwon katu, co tu pieniędzy, wſzak to nawet Fontanny w Warſzawie więcey mieć nie może.

LORENS.

To widziſz.

MACIEY.

Ale powiedzże mi WPan, czy to prawda, co mi WPan mówiłeś?

LORENS.

A nalicha by mi ſię zdało kłamać.

MACIEY.

O kiedy tak, to ſię jeſzcze dziſiay odprawię, i nie poiadę daley; ale czy ona też mi wſzyſtko zapłaci, jak WPan rozumieſz... hę?...

LO-

LORENS.

O tym ani wątpię, naymieyſzego ſzeląga nie ukrzywdzi.

MACIEY.

Wielka ſzkoda, dobra to Pani, ale i cóż robić, wolę ſię odprawić, aniżeli potym z nią razem wiſieć.

LORENS.

Y ja tak mówię. Ale idźmy, bo ktoś nadchodzi, *odchodzą do Pokoiu Baronowey.*

SCENA XVII.

ŁUDWIK, DWOCH KONSYLIARZY, GIERYCHT, I WOZNY.

KONSYLIARZ Pierwſzy *oglądaiąc, Pokoy, piſze w pulareſie*

Przed-Pokoy, w którym drzwi czworo, jedne z Ulicy, drugie (*pyta ſię*) dokąd?

LUDWIK.

Na ſalę.

KONSYLIARZ.

A te? (*pokazuiąc na drzwi Kobiet*)

LUDWIK.

Do Pokoiu.

KON-

KONSYLIARZ *Piſze.*

W którym drzwi czworo, jedne z Ulicy, drugie na ſalę, trzecie do Pokoiu, a czwarte na galerię, Okien cztery.

KONSYLIARZ drugi.

A teraz dokąd ſię udamy?

LUDWIK.

Póydziemy na Salę, a potym do Ogrodu (*odchodzą.*)

GIERYCHT sam.

Czy w tych ludziach diabli ſiedzą, z taką oboiętnością, podaią mi ſwoią Kamienicę, jakby to ich wcale nie obchodziło. Ja myslałem, że ich to nakłoni do oddania mi Karoliny, a oni nawet o tym ani myslą. O gdybym mógł jaki ſpoſob wynaleść jeſzcze do gorſzego ich pognębienia! (*odchodzi za Konsyliarzami.*)

SCENA XVIII.

LORENS *sam wychodząc z Pokoiu Baronowey.*

Cha, cha, cha, co to za głupiec z tego Mazura, uwierzył łatwo takim bałamuctwom.... ale pomiarkuy ſię Panie Lorens, dobrzeż to jeſt, Panią czernić, a

nuż

nuż ona się dowie.... To i co... na śmieje się z tego do woli, i koniec na tym; Poczciwi ludzie nigdy nie maią zwyczaiu się gniewać, choćby na nich kto co naygorszego gadał.... jak się Maciey odprawi, dopióro będę mógł okazać Pani Murer, moią niezmysloną przychylność, i nadgrodzę błąd popełniony dziś rano. Ale trzeba się śpieszyć do koni. (*odchodzi.*)

SCENA XIX.

ALBERT *sam.*

Nie zostałem nikogo.... do czegoż ten Paszport dla mnie jest wstrzymany, już dotąd możebym był daleko, możebym był już cokolwiek uspokojony, lecz nie, nie spodziewam się tego, mógłzebym kiedy bydź spokoynym, bez przytomności tey, którą kocham nad życie?

KAROLINA *wybiegaiąc z Pokoju Baronowey.*

Ach! kochany Braciszku, bądź dobrey mysli.... Lecz co widzę WPani, że to. Ach! w tym momencie życie mi tysiąc razy jest milsze, gdy cię oglądam.

ALBERT.

Zkądże to tak nagła odmiana?

KAROLINA.

Oto.... Ach!... ciężko mi ſłowa wymówić....

ALBERT.

Słucham.

KAROLINA.

Fani jeſt już Zoną Pana Ludwika?

ALBERT.

Cóż daley?

KAROLINA.

A ja mam bydź WPana.

ALBERT.

Co ſłyſzę, mogęż temu wierzyć?

KAROLINA.

Mogłażbym WPana zwodzić? Ale pódź (*biorąc go za rękę*) pódź do Pani d' Artur, przeproś ją, gdyż WPana odeyście mocno ją zmartwiło.

ALBERT.

Zaraz.... zaraz naymilſza Karolino, niech ſię cokolwiek dowiem.... Fani i Murer z łatwością zezwolili na to?

KAROLINA.

Ach! Fani ta cnotliwa Panienka, oſzukała nas.

ALBERT.

Jak to, zdaie mi się, iż WPanna mówiłaś, że zezwoliła na Małżeństwo z Panem Ludwikiem.

KAROLINA.

Tak jest zezwoliła, ale czynili się bardzo ubogiemi, aż dopióro po przyrzeczeniu i daniu sobie ręki.

ALBERT.

Cóż więcey?

KAROLINA.

Ach! żebyś wiedział, jakie to Panie bogate, co one maią pieniędzy, prawdziwie nigdym tyle nie widziała, rachuią teraz Summę na zapłacenie Pana Gierycht, a mnie, patrz WPan, jaki paczek kleynotów darowała.

ALBERT.

Co ja słyszę? nie weśnież ja to wszystko widzę? czy nie omamienie? lecz nie.... tak jest, wszystko prawda. Ach! wyiść nie mogę z podziwienia nad tak nagłą odmianą stanu naszego, pódźmy kochana Karolino, pódźmy prędzey ucałować te ręce, które nas wyrywaią z tak wielkiey przepaści. (*odchodzą.*)

SCE-

SCENA XX.

LOTARY, LUDWIK, KONSYLIARZE, GIERYCHT, WOZNY.

LOTARY *do Ludwika.*

Pokazałeś WPan wszystko?

LUDWIK.

Jak nayregularniey.

KONSYLIARZ.

Nim przystąpiemy do Exekucyi dekretu, należy pierwey przeczytać Akt Tradycyi. (*czyta*) „Na mocy Dekretu
„ zapadłego w dniu dwódziestym czwar-
„ tym Miesiąca Septembra, w Sądach Ju-
„ rysdykcyi Wexlowey, pod Prezyden-
„ cyą JPana Doras Prezydenta Sądów
„ Wexlowych i kryminalnych: My Gotlib
„ Kirycht, i Krystyan Drynk na instan-
„ cyą JP. Gierycht, staneliśmy osobiscie
„ w Kamienicy JP. Faustyna Lotarego
„ Pułkownika na Ulicy Szeynestad sytuo-
„ waney, do którego dzieła podług Praw
„ Miasta tuteyszego Oldenburga dnia
„ trzydziestego tegoż Miesiąca przystą-
„ piliśmy „ (*Konsyliarz do Woźnego*
„ *mówi*) zapytay się.

WO-

WOZNY.

Nie broni kto Tradycyi tey Kamienicy, po pierwſze?

LOTARY.

Nikt nie bróni.

WOZNY.

Czy nie bróni kto tradycyi tey Kamienicy, powtóre?

LOTARY.

Nikt nie bróni.

WOZNY.

Czy nie bróni kto tradowania tey Kamienicy, po trzecie?

SCENA XXI.

Ci ſami, i BARONOWA.

BARONOWA *wybiegaiąc z ſwego Pokoiu.*

Stóy WPan, ſtóy Panie Pułkowniku, Pan Gierycht będzie opłacony.

LOTARY.

Będzie zaś opłacony?

BARONOWA.

Tak jeſt.

LUDWIK.

O szczęsliwe zdarzenie.

GIERYCHT *na stronie.*

A czy się tu diabli wmieszali, że mi dziś wszystką robotę psuią.

LOTARY.

Ale powiedzcie mi, co się to ma znaczyć?

GIERYCHT.

Nie ma tu czasu, albo niech będę zapłacony podług Regestru, albo zezwol WPan na tradycyą, bo inaczey formuię nowy proceß o kontrawencyą Dekretu.

LOTARY.

Ale. . .

BARONOWA.

Niemasz tu żadnego ale .. Mości Panowie, Panie Ludwiku, w sali leżą pieniądze na stole, idźcie WPanowie liczyć.

GIERYCHT.

Pódźmy, obaczemy, co to jest: zkąd tak nagłe bogactwo do pięciu tysięcy czerwonyhc złotych?

BARONOWA.

Nie turbuy się WPan o nic, nie będzie

mu i szeląga brakowało. (*Ludwik, Gierycht, Konsyliarze i Woźny, odchodzą.*)

SCENA XXII.

LOTARY, BARONOWA, potym MURER.

LOTARY.

Zmiłuy się WPani, wyprowadź mię z tego podziwienia, w którym zostaię. Mogłażby się WPani ukrywać z pieniędzmi, gdybyś ich miała, temu wcale mi się niechce wierzyć.

BARONOWA.

Obiaśnić WPana doskonale nie potrafię, to tylko powiem, iż z owey ubogiey Fani stała się bardzo bogatą. Ale otoż idzie jey Matka, jaśniey to WPanu powie, a ja muszę śpieszyć do moiey kochaney Kuzynki, (*do Murer*) zmiłuy się WPani, uspokoy mego Brata, gdyż tak nagła naszа odmiana, humor w nim odmieniła. (*odchodzi*)

MURER.

Spodziewałam się tego Mości Pułkowniku, iż WPan Dobrodziey nie będziesz bez zastanowienia nad tą odmianą naszego stanu, i dla tego umyslnie wyszłam, ażebym mu pierwszą spokoyność powróciła.

LO-

LOTARY.

Wielką mi WPani Dobrodzika uczyniſz w tym łaſkę.

MURER.

Uſiądźmy (*ſiadaią*) ſkracaiąc niepotrzebną Hiſtoryę, którąby WPana, ile w teraznieyſzym czaſie nudziła, opowiem mu tylko samą treść oney. Ta Panienka, która już jeſt tak dobrze, jak Synową WPana, nie jeſt moia Córka.

LOTARY.

Któż więc?

MURER.

Jeſt to jedna z znaney Familii w całey Holandyi, ſześcią Mieſięcami przed jey narodzeniem ſię doſtałam ſię do jey Rodzicow, barzo zacnych i czułych, byłam u nich w poważeniu, nie jak Rezydentka, ale jak Kuzynka, nieszczęściem sama Pani, a Matka Fani, wydaiąc te miłe ſtworzenie na ten świat, pożegnać go muſiała. Co ſię w naſzych sercach działo, nie będę opisywać, łatwo to bowiem WPan możeſz przeniknąć, ile także maiąc czułe serce, Oyciec jey w nieutulonym żalu będąc po ſtracie czułey i kochaiącey Zony, oddał mi pod dozor Córkę, a sam udał ſię do Indyi, gdzie otrzymał Urząd

Rządcy, w dzieśięć lat po wyieździe swoim powrócił nazad, i przeięty wdzięcznością, dziękował mi za starania podięte koło swoiey Córki, mieszkaiąc z nami wyrozumiał Córkę ze wszystkim. W ciągu rezydencyi jego przy Córce, niewiem, dla czego to uczynił, że sprzedał wszystkie dobra Ziemskie, a pieniądze na Banku lokował. Przemieszkawszy lat trzy przy nas, przeniosł się do szczęsliwey wieczności, zostawiwszy Córkę swoią Dziedziczką całego pieniężnego i ruchomego maiątku. Wyznaczył Testamentem i Opiekunow, ale nie dla tego, ażeby nią mieli zarządzać, tylko, ażeby jey byli we wszystkim pomocą, co obwarował Urzędownie Pieniądze zaś lokował na Banku, nie pierwiey zostawił Pannie Fanni moc rządzenia onemi, aż póki Panna nie póydzie za Mąż, albo nie dóydzie lat trzydziestu, wolnośc zaś w szafowaniu pieniędzy zostawionych w gotowiźnie i obieranie Męża, do jey własney woli zostawił.

LOTARY.

Ach! kochana Pani zmysły mi przywracasz, jakże się nazywał jey Oyciec?

MU-

MURER.

Olivier Aring.

LOTARY *zdziwiony.*

Aryng? (*na stronie*) Ach czego ſię ja dowiaduie!

MURER.

Może jeſt znaiomy WPanu.

LOTARY.

Nie, Mościa Pani.

MURER.

Jakaż przyczyna jeſt tego poruſzenia?

LOTARY. *na stronie.*

Mamże jey odkryć? nie, wtrzymam ſię jeſzcze.

MURER.

Słucham.

LOTARY.

Powieść WPani Dobrodziki zupełnie ſię zgadza z wiadomością, którą mieliśmy w Gazecie rok trzeci temu, mam tę gazetę w ſwoim Kałamarzyku, ale powiedz mi WPani, kto była z domu jego Zona?

MURER.

Przyznam ſię WPanu, jeſtem przy tym

do-

domie lat bliſko Ośmnaſtu, a nie przyſzło mi o tym zapytać ſię.

SCENA XXIII.

LOTARY, BARONOWA, MURER, FANI.

FANI.

Mościa Dobrodziko, Maciey napiera ſię koniecznie, ażeby go odprawić.

MURER.

Cóż mu ſię ſtało?

FANI.

Nic tego nie wiem.

MURER.

Więc mu trzeba zapłacić.

LOTARY.

Mościa Dobrodziko, WPani Dobrodzika ſama ułatwiſz ten interes, chciałbym, żeby Panna Fani ze mną zoſtała, (*Murer odchodząc*) zoſtań ſię więc WPanna.

FANI.

WPan Dobrodziey maſz mi co do rozkazania?

LOTARY *zdeymuiąc Kapelusz.*

Łaskawa Dobrodziko, nim zostaniesz zupełnie moią Synową, przyimiy tę wdzięczność, którą ci winien jestem.

FANI.

WPan Dobrodziey mnie zawstydzasz. Ja bym Sobie życzyła, ażebyś WPan Dobrodziey używał do mnie wyrazów tych, które używasz do swoiey Córki, a te mi staną za naywiększą wdzięczność, i sprawi ukontentowanie, wszak już ją jestem.

LOTARY.

Kiedy tak, na wszystko pozwalam. (*kładzie Kapelusz*) moja Naymilsza Synowo, przygotuy się na przywitanie wielkiego mego Przyiaciela Pana Prezydenta Doras, zaraz po niego poszlę. Jak go poznasz i dowiesz się, co za jeden, zaręczam, że będziesz kontentą. Ale zrzuć tę maskę z siebie, a weź stróy tobie przyzwoity. No, śpiesz się, śpiesz, gdyż mi czas nie pozwala dłużey z tobą bawić się.

FANI.

Bardzo dobrze Mości Dobrodzieiu. (*odchodzi.*)

SCE-

SCENA XXIV.

ŁOTARY, potym GAMACZ.

LOTARY.

Ani się tego ſpodziewa moia Synowa, że się pozna z swoim Wuiem, o którym może i nie wie, że jeſt na świecie. Ach! jakież będę miał ukontentowanie widząc ich poznaiących się, trzeba po niego poſłać, (*woła*) Gamacz, hey Gamacz!

GAMACZ *za Kuliſsami.*

Mości Dobrodzieiu.

LOTARY.

A śpieſz no się prędzey.

GAMACZ.

Zaraz, dobrze mówię, zaraz, *bieży przecieraiąc oczy i potacza ſię na Pułkownika, którego Półkownik wstrzymuie, żeby ſię nie wywrócił.*

LOTARY.

A cóż to ty ſtary pſie, podobnoś się upił?

GAMACZ.

Zwyczaynie, dobrze mówię, ja ſtary, WPan ſtary, to tyż my, dobrze mówię, jedno znaczemy.

LO-

LOTARY.

Ale kto ciebie tak upoił?

GAMACZ.

Zwyczaynie, dobrze mówię, poczciwi ludzie.... poszliśmy, dobrze mówię, pod białego Jelenia z Woźnym, i tam obydwa, dobrze mówię, żałuiąc nieszczęścia Pańskiego, do pięciu butelek, dobrze mówię, Wina wypiliśmy.

LOTARY.

Poczekay hultaiu, wytrzezwię ja ciebie, biegay mi natychmiast do Pana Prezydenta, i proś go do mnie.

GAMACZ.

A uchoway Boże, onby mnie, dobrze mówię, na kark ze schodow zepchnął, gdybym, dobrze mówię, o tey godzinie do niego ważył się kołatać, właśnie Pan niewiesz, dobrze mówię, że od dwónastey, do trzeciey on zawsze, dobrze mówię, Medytacye zamknąwszy się odprawia, i nikogo, dobrze mówię, do siebie nie puszcza.

LOTARY.

Powiedz, że jesteś przysłany odemnie.

GAMACZ.

Nie trzeba mu tego, dobrze mówię, po-

wia-

wiadać, bo on mnie zna, ale dość Panu, dobrze mówię, że nie póydę.

LOTARY *na stronie.*

Widzę sprawy z nim nie doydę (*głośno*) idź mi przynieś Swicę.

GAMACZ.

Z ogniem, dobrze mówię?

LOTARY.

A już ci nie bez ognia.

GAMACZ.

Zaraz (*odchodzi.*)

LOTARY.

Jużbym tego starego dawno odpędził, żebym się Boga nie obawiał... Dobry człowiek, ale ma ten nałog przeklęty, żeby mu się tylko okazya wydarzyła, to póty pije, póki się z nog nie zwali. Trzeba lepiey bilet napisać do Prezydenta. (*siada i pisze złożywszy Bilet*) co on się tam bawi (*woła*) Gamacz.

GAMACZ.

Dobrze mówię, biegę (*wbiega ze Swiecą potacza się i upada*) Otoż masz, dobrze mówię, tak to zawsze bywa z pośpie-

szney

ſzney, dobrze mówię, roboty, a do tego, dobrze mówię, podłoga tak nierówna.

LOTARY.

Bodaycie kaci porwali, ty opoju przeklęty!

GAMACZ

Zaraz, dobrze mówię, zaraz póydę drugi raz (*Pułkownik ſkłada bilet i Adres zapisuie, Gamacz tym czasem ſzuka świecy, ale ſię podnieść nie może.*) i ſzukam, dobrze mówię, i ſzukam, a znaleść nie mogę. Jeſzcze do tego, dobrze mówię, w tym Pokoju tak ciemno.

LOTARY.

W twoich oczach, ty Bałwanie, w twoich oczach, nie w Pokoju.

GAMACZ.

Tak jeſt, dobrze mówię, w moich oczach, założyłbym ſię dziś, że i Pan tey Swiecy, dobrze mówię, nie widziſz.

LOTARY *podnoſząc go z ziemi porywczo.*

Wſtań już ty przemierzły, dobrze mówię, bo mi cierpliwości nie ſtaie, na, weź ten bilet i odnieś go Panu Prezydentowi,

a nie zapomniy gdzie na ulicy wywrócić się.

GAMACZ.

Będę pamiętał, dobrze mówię. *odchodzi.*

SCENA XXV.

LOTARY, dwóch KONSYLIARZY, GIERYCHT, WOZNY.

KONSYLIARZ.

Mości Pułkowniku JPan Gierycht jest zupełnie zaspokoionym, nie brakło ani szeląga, oto masz WPan Dobrodziey Kwitacyą ze wszelkich pretensyi, która jest potwierdzona Urzędową pieczęcią, i naszych rąk podpisem.

KONSYLIARZ drugi.

Mocno z tego jesteśmy Kontenci, że się na tym skończyło, nie mamy tu nic więcey do czynienia.

LOTARY.

Dziękuię WPanom za poniesioną ich fatygę... póydę odwiedzić moie kąty, których mi opatrzność przywróciła, bom się już był na zawsze z niemi pożegnał, *chce odchodzić.*

WO-

WOZNY *kłaniaiąc się.*

Winszuię Panu pomyślnego ukończenia.

LOTARY.

Dziękuię ci móy Bracie, dziękuię, ale proszę drugi raz moich ludzi nie poić tak, żeby się aż z nog walili.

WOZNY.

Będziemy się lepiey miarkować Mości Dobrodzieiu, pierwiey tylko we dwóch piliśmy, i to żałuiąc Pana, a teraz póydę sproszę moich Kollegów Pod Białego Jelenia.

Y popiiem się wszyscy z radości,
Że Pan tak dobry został przy swoiey
własności.

LOTARY.

Dobrze Panie Wozny, bardzo dobrze, weźmiesz tam sobie na moie konto dwadzieścia butelek wina, (*do Konsyliarzy*) uniżony sługa WPanow.

KONSYLIARZ.

Pan Gierycht póydzie z nami?

GIERYCHT.

Nie póydzie.

KON-

KONSYLIARZ.

Więc tu zoſtanie?

GIERYCHT *w paſsyi.*

Tak, zoſtanie, proſzę mi nie przeſzkadzać.

KONSYLIARZ *do drugiego Konsyliarza.*

Zwaryował nieborak, i pieniądze wziął, i jeſzcze niekontent. Zoſtawmy go ſamego, (*do Gierychta*) Weselſzego humoru życzemy (*odchodzą*)

GIERYCHT (*ſam.*)

Obeydzie ſię bez tego życzenia, mnie mało diabli nie biorą, a on mnie weselſzego humoru życzy... A czy tu wſzyscy diabli wnieśli tę przeklętą babę z ſwoią Córką i z pieniędzmi, takie mi śliczne proiekta pomieſzała, że przyiść do ſiebie nie mogę. Obiecywałem ſobie mieć i Zonę, i Kamienicę, a tu ani tego, ani owego, (*ściąwſzy zęby*) Ach! wściekłość mię napada, ależ, ile możności moiey, będę ſię ſtarał zemścić nad nią, choćbym miał te wſzyſtkie pieniądze utracić, co teraz odebrałem... Coby to zrobić? (*myśli*)

SCENA XXVI.

GIERYCHT, MACIEY.

MACIEY *wchodząc rachuie pieniądze.*

Dwanaście, 13ście, 14ście, 15ście, 16ście, 20ście i 4ry. A to jeszcze widzę nadto, 3, 6. 9, 10. Day go katu, co za wspaniała Dusza, dziesięć Dukatow nadto.

GIERYCH *zamyślony,*

Gdybym się móg przynaymniey dowiedzieć, co ona za jedna.

MACIEYT *postrzegaiąc Gierychta chowa pieniądze do kieszeni.*

Kto?

GIERYCHT.

O to ta Kobieta, co tu dopiero dziś przyiechała.

MACIEY.

A cóż mi WPan dasz, to mu może i powiem.

GIERYCHT.

Alboż ty wiesz, kto ona jest?

MACIEY.

Tak ją znam, jak WPana samego... bo ją od samey Warszawy wiozę...

GIERYCHT.

Czy ona z Warſzawy?

MACIEY.

Nie, wcale nie, przeiezdżała tylko przez nią. Gdzie jey kuczer zachorował, że nie mógł daley ią wieźć, oddała go do Marcinkanek, a mnie proſiła, ażebym ią podwiozł, póki albo inſzego nie doſtanie, albo Kryſtyan nie ozdrowieie, który miał pocztą za nią przyiechać.

GIERYCHT.

Taką rzeczą nie muſiſz wiedzieć, zkąd ona jeſt, i co za jedna?...

MACIEY.

Jakbym to ja niewiedział, kiedy mi nad zgodzony Jurgielt naddała dzieſięć Dukatow, a to tylko dla tego, ażebym przed nikim nie powiedział, co ona za jedna.

GIERYCHT.

Dzieſięć Dukatow na utaienie prawdy?

MACIEY.

Oy tak, tak Mospanie.

GIERYCHT.

A to muſi bydź jakaś podeyrzana Kobieta?

MACIEY.

Ha! .. to tyż to...

GIERYCHT.

Gdybym ſię mógł dowiedzieć.

MACIEY.

No, kłaniam WPanu, nie mam czasu dłużey bawić.

GIERYCHT.

Zaczekay, zaczekay móy Przyiacielu...

MACIEY.

Cóż mi WPan maſz powiedzieć?

GIERYCHT.

Czy ty jeſzcze u niey ſłużyſz?

MACIEY.

Możebym i ſłużył, żebym ſię nie był wywiedział o ich poſtępkach, bo też prawdę mówiąc, nie miałem krzywdy, alem ſię obawiał, żeby i mnie razem z niemi, jak czasem złapią, nie powieſili.

GIERYCHT.

Co, żeby nie powieſili?

MACIEY.

Tak jeſt, Oy! bo nie żarty.

GIERYCHT.

Móy Przyiacielu, naż ci Dukata, a obiaśniy mnie w tym jaśniey...

MACIEY.

Co zaś! Dukata na wyiawienie prawdy, na którey pokrycie doſtałem dzieſięć, a żartuieſz ſobie WPan.

GIERYCHT,

Móy kochany, dałbym ci więcey, ale że nie mam przy ſobie... a onaż daiąc ci te dzieſięc Dukatow, proſiła, ażebyś o tym zamilczał.

MACIEY.

Ona jakby o tym niewiedziała, ale ſię muſiała domyślać i poznać z moiey miny, co ja myślę.

GIERYCHT.

No, móy kochany, proſzę cię, powiedz mi, naż ci nareſzcie dwa Dukaty, bo przyſięgam, że więcey nie mam.

MACIEY.

No i cóż mam robić?

GIERYCHT.

Słucham.

MACIEY.

Ale czy nas kto nie podsłuchuie.

GIERYCHT.

Prawdę, mówisz. . .zeydźmy na stronę.

MACIEY.

O to tak: powiadał mi jey Lokay Lorens, że ta Kobieta jest bardzo podłego gatunku, i jey Mąż był taki: Mieszkali oni, nie pamiętam, w jakimści Mieście, i trzymali oberże; O! kto tylko do nich zaiechał, tak mu zaraz nożem po gardle, a pieniądze do kieszeni, otoż to tym sposobem przyszli do tak wielkich pieniędzy, potym sprzykrzywszy sobie z Mężem życie, otruła go. . . Już to Zwierzchność była dowiedziała się o jey sprawkach, i chcieli capnąć do kozy, aż ona dwóma dniami pierwey zemknęła, i już półtora roku, jak się błąka po świecie, boi się, azeby ją nie schwytano.

GIERYCHT.

A prawdaż to?

MACIEY.

Tak, jak WPana podzciwego tu przed sobą widzę, ale zmiłuy się WPan nie rozgłoś tego przed moim wyiazdem,

bo ſię boię, żeby mnie z nią razem do kozy nie wzieli, *odchodzi.*

GIERYCHT ſam.

A . . . Jakiż to z ciebie śliczny ptaſzek moia Pani . . . brawo mocno jeſtem kontent z tego zdarzenia, o poczekay Panie Pułkowniku, w jednym momencie miałeś ſię ſtać bogatym, aż ci ſię nie udaie, (*mysli*) trzeba zaraz iść zwokować nadzwyczayną ſessyą w Sądach Kryminalnych . . tak . . nadzwyczayną, boby to baba mogła ſię czasem dowiedzieć i zemknąć, będzie to mnie cokolwiek koſztowało, ale też za to jako Delatorowi połowę zkonfiskowanych od niey rzeczy, koniecznie mi muſi bydź przysądzono, a zgnębiwſzy babę, mandat Pułkownikowi, że przeciwko prawu trzyma podeyrzane osoby w ſwoim Mieſzkaniu, a tak Pan Pułkownik nie spoſtrzeże ſię, jak z Kamienicy wyleci. O ſzczęśliwe zdarzenie, ale nie traćmy czasu (*ſpogląda na Zegarek*) Godzina pierwſza, na trzecią ſama pora będzie.

Koniec Aktu drugiego.

AKT

AKT TRZECI.

SCENA I.

BARONOWA, LOTARY,

BARONOWA.

Cóż Bracifzku, zdarzenie dzifieyfze podobno warte jeft bydź wpisanym w Kroniki; ktożby fię mógł fpodziewać, ażeby w ten moment, kiedy miałeś bydź wyrzutkiem z fwego Mieszkania, zoftałeś fię przy nim, a to bez naymnieyfzey o nic więcey obawy. Cóż, dowiedziałeś fię, zkąd oni maią tak wieki Maiątek?

LOTARY.

O wfzyftkim, i przyznam fię WPani, że mocno jeftem kontent z tego zdarzenia.

BARONOWA.

Ale powiedz mi WPan, czego fię tak zmiefzałeś wtedy, kiedym WPana o tym uwiadomiła.

LOTARY.

Odmiana tak nagła ftanu tych Cudzoziemek, mocno mię zaftanowiła, i gdyby nie Relacya Pani Murer, wątpię bardzo, jeżelibym chciał przyiąć te dla mnie Dobrodzieyftwo, wolałbym raczey zoftać bez naymnieyfzego fposobu, aniželi

li posiadać naywiększe bogactwa, a zle nabyte.

BARONOWA.

Taką rzeczą nie jesteśmy jeszcze zupełnie uwiadomieni, gdyż relacya Pani Murer może bydź Fałszywa.

LOTARY

Nie, moja Siostro, jestem przekonany, że jest nayrzetelnieysza.

BARONOWA.

Jakaż tego pewność?

LOTARY *dobywaiąc z kieszeni Gazety i listu, List chowa za kamizelkę, a gazety oddaie.*

To mnie przekonywa, czytay WPani ten Punkt.

BARONOWA *bierze Gazetę i czyta:*

„Z Hagi dwónastego Februarii Oli-
„vier Aryng Obywatel znaczny, który
„przez Lat dziesięć w Indyi sprawował
„Urząd Gubernatora, po powrócie swo-
„im przemieszkawszy lat trzy w Ho-
„landyi przy córce, dnia wczorayszego
„zszedł z tego świata, maiątek swóy wy-
„noszący do stu tysięcy Czerwonych
„złotych Holenderskich, lokowany na
„Banku, prócz gotowizny, zostawił swo-
„jey Córce Imieniem Fani, maiącey do-
„pióro lat szesnaście, która była wycho-
„wana pod dozorem wszędzie tu poważa-
ney

„ ney, i powſzechną eſtymacyą maiącey
„ kobiety nazwiſkiem Murer. (*mówi*)
Ach! czego ja ſię dowiaduię, więc Murer
nie jeſt Jey Matką.... o co tego to nigdy
nie daruię.

LOTARY.

Czymże WPani jeſteś przez to pokrzywdzona?

BARONOWA.

Tak zaś mnie oſzukiwać. Mijam to, iż
ſię taiła przedemną, że jeſt maiętną, ależ...

LOTARY.

Moja Sioſtro tą twoią! popędliwością
wſtrzymujeſz mnie od wyiawienia ci
nierównie więkſzego sekretu, który w
naſzym domie od lat bliſko dwódzieſtu
ieſt taynym, i WPani o nim nie wieſz.

BARONOWA.

Od lat dwódzieſtu, w WPana domie?

LOTARY.

Tak jeſt, tak mościa Pani, nie tylko
WPani nie wiesz o nim, ale nawet Pan
Ludwik i wſzyſcy domowi jeſteście w omamieniu.

BARONOWA.

W omamieniu zaś?

LOTARY.

Ale tak, nie inaczey w omamieniu, jeżeli
więc mi Sioſtra przyrzecze, że ſię o

to nie urazi, to teraz wyiawię iey ten sekret, i podam ſposob wcale niewinny do oſzukania Fani za to.

BARONOWA.

Tajemnica od lat dwódzieſtu.... jakiżby miała wpływ do niey Fani, która dopióro dwa tygodnie, jak naſz dom poznała?

LOTARY.

Oy! ma, Mośćia Pani, i wielki ma wpływ, gdyż nad ſpodziewanie nawet ſwoie, znayduie tu Wuja i Sioſtrę Wuieczną.

BARONOWA.

Wuja i Sioſtrę Wuieczną? a to do nieznieſienia żartowali sobie ze mnie, gdyż nawet teraz, jak ſię pytałam, czy ma jakich Krewnych, odpowiedziała, że nie ma żadnego.

LOTARY.

Nie mogła cię uwiadomić, bo podobno i ſama o tym nie wie.

BARONOWA.

A któż WPanu powiedział? pewnie Murer.

LOTARY.

Wcale nie.

BARONOWA.

Może który jey ſłużący?

LO-

LOTARY.

Zaden.

BARONOWA.

Ale zmiłuy ſię WPan oświeć mnie w tym?

LOTARY.

Y jakże, można kiedy mi WPani przez ſwoie pytanie tego nie dopuſzczaſz?

BARONOWA.

Zaraz, ty ko ſię o co ſpytam; znamże ja jey Krewnych?

LOTARY.

Tak, jak mnie ſamego, a co większa, Sioſtrę Fani na ſwoich rękach wychowałaś.

BARONOWA.

Ja zaś?

LOTARY.

Tak jeſt.

BARONOWA.

Ktożby to był, proſzę WPana?

LOTARY.

Mniemana moia Córka Karolina.

BARONOWA.

Karolina zaś.... Karolina? ale cóż to znaczy, zdaie ſię, że WPan sobie żarciki robiſz ze mnie?

LOTARY.

Nie, Mościa Pani, nie mysl WPani tak o mnie, gdyż miałbym to sobie za wyſtę-

pek

pek żartować, ile z tak dobroczynney Siostry.

BARONOWA.

Ale zmiłuy się WPan, jakże mam inaczey myśleć. Karolina w przytomności mojey rodziła się, po śmierci WPana Zony a jey Matki, całe sześć lat u siebie ią chowałam, i dziśbym nawet przysięgła, że to ta sama, a nie inna.

LOTARY.

Ta sama, która się u WPani wyhodowała, ale nie ta, która się przy niey rodziła. Chciey mnie tylko cierpliwie posłuchać, będziesz uwiadomioną, ale usiądźmy, bo mię coś nogi bolą (*siadaią*) wiadomo WPani, jaki upor miała Nieboszczka moja Zona, że kiedy się przy czym uparła, koniecznie na swoim musiała postawić. W rok po urodzeniu się naszey Córki, dostałem Ordynans iść z moim Regimentem na zimowe kwatery do Hunny, moja Zona naparła się koniecznie jechać z całym Dworem, na co musiałem zezwolić.

BARONOWA.

Pamiętam, cóż daley?

LOTARY.

Niemowlątko zaś moje, to jest: Karolinka musiała podlegać tymże niewygo-

dom, które i my ponosiliśmy, a tak odmiana powietrza, słoty, dżdże, były przyczyną jey śmierci.

BARONOWA.

Więc WPana Karolinka umarła?

LOTARY.

Jeszcze w drodze. Ale chciey WPani słuchać końca cierpliwie, jesli chcesz dowiedzieć się o tym Dziewczęciu, bo inaczey wątpię, ażebym powieść skończył, jesli mi swemi pytaniami będziesz przerywać.

BARONOWA.

No, słucham już.

LOTARY.

Gdyśmy staneli u Hunny, zaraz nazaiutrz po naszym przymaszerowaniu spotykam idącego człowieka przez Miasto, a na jego rękach to miłe stworzenie, które dziś mieysce moiey Córki zastępuie, poznałem z pierwszego weyrzenia, że jest nie prostey kondycyi, na twarzy Jego okazywał się jakiś żal i wstyd, którego dochodzić tego momentu nie zdało mi się rzeczą potrzebną, a widząc po nim, że potrzebował wsparcia, zaprosiłem go na obiad do siebie, na co on chętnie zezwolił. Zona moia uyrzawszy jego dziecko, a maiąc w świeżey pamięci swoią Córeczkę, prawie jednego z nią wieku

ku, porwała na ręce, i zaczęła rzewnie płakać. Ja widząc moiey żony przywiązanie do tego dziecka, prosiłem tego Jegomości, ażeby u nas chciał kilka dni rezydować, za którą propozycyą odebrałem od niego tysiąc błogosławieństw, i zamiast kilku dni, mieszkał przy mnie więcey pół roku, przez który czas moia Zona i ja, tak przywykliśmy do tego dziecka, że z cięzkoscią by nam było od puścić ją od siebie. Co poznał jey Oyciec, a widząc nasze ku niey przywiązanie, oddał ią nam za Córkę, z warunkiem tym jednak, ażeby się na jey wzrost mógł zapatrywać, czego mu nie mogliśmy zabronić, a ponieważ nam Imie Karolina zawsze na mysli było, cięzko się więc było przyzwyczaić do jey własnego Imienia.

BARONOWA.

Jakież jey Imie właściwe?

LOTARY.

Klaryssa.

BARONOWA.

No, słucham końca.

LOTARY.

W lat pięć potym Zona moja umarła, ja zaś nie maiąc zręczności trzymać ją przy sobie, poradziłem się z jey Oycem, i ode-

i odeſłałem do WPani, a reſzta jey wiadoma.

BARONOWA.

Ale....jakże o tym Pan Ludwik nie wie?

LOTARY.

Jakże miał wiedzieć, kiedy po odjeździe WPani od nas, zaraz go odeſłałem do Korpusu Kadetow, który nie powrócił do mnie, aż po moim Abſzycie. Mogęż ſię ſpodziewać, iż mi Sioſtra zechce darować, żem to przed nią utail?

BARONOWA.

Byłeś WPan obowiązanym to taić...

LOTARY.

Nie żałujeſzże WPani tego, żeś jey ſwóy maiątek zapisała?

BARONOWA.

Jak teraz, to bynaymniey, gdyż choć nie jeſt moią Synowicą, przez cnotliwe jey ſprawowanie ſię zaſługuie na to, ale bardzobyś nieſłuſznie żrobił, gdybyś przez to taienie oſierocił był ſwego Syna, który powinien bydź Sukceſorem mego maiątk

L ARY.

Myslałem był to ſwego czasu odkryć, i mniemałem, że Pan Ludwik tę, którą kochał jak Sioſtrę, po odkryciu tego ſekretu, będzie miał z niey Zonę, ale pó-

źniey postrzegłem wcale inną skłonność Karoliny, nie mogłem więc rzeczy przeistoczyć, gdyż inaczey musiałbym, albo rozłączyć dwoie amantow szczerze kochaiących się, albo wydrzeć jey to, co WPani już byłaś determinowaną jey zapisać, jedno byłoby tyraństwem, a drugie niesprawiedliwością.

BARONOWA.

Przyznaię, że to jest prawda, ale dla czegoż WPan pozwoliłeś dnia onegdayszego, kiedym przyznawała Dokument, Panu Ludwikowi ustąpić swoiey połowy, którą dla niego ...

LOTARY.

Jego w tym wola była, a zatym niechciałem się w to mieszać, a potym miał już przeznaczone dla siebie wiadome jey mieysce, a choćby i nie miał, jako Męszczyzna, mógłby sobie lepiey poradzić, aniżeli Dziewczyna.

BARONOWA,

Mysl sprawiedliwa... Ale powiedzże mi WPan, jakimże sposobem domyslasz się, że Fani jest jey Siostra, i co go w tym przekonywa?

LOTARY.

Muszę WPanią, jak widzę, ze wszystkim uspokoić, czytay WPani ten List, (*dobywa listu z za kamizelki, i daie*

rozłożony) a ſama ſię przekonaſz i razem dowieſz ſię, kto to jeſt jey Oycem.

BARONOWA *czyta.*

„ Liſt WPana pisany z Hrabſtwa Ol-
„ denburſkiego dnia onegdayſzego ode-
„ brałem, po którego przeczytaniu, ſiadam
„ i odpisuię, o Zenie WPana wcale ſię
„ dowiedzieć nie można, powiadaią, że
„ we trzy Mieſiące po ucieczce WPa-
„ na opuściła Roterdam, i nie wiedzą,
„ gdzie ſię podziała, poſtępek WPana
„ jeſt przyczyną śmierci jego Sioſtry, a
„ ulubioney mi Zony, która gdy ode-
„ brała o nim wiadomość, tak nią zo-
„ ſtała przerażoną, iż nawet niechcia-
„ ła przyznawać ſię, że byłeś jey Bra-
„ tem, kazała utaić ſwoie Nazwiſko, o
„ co i przy ſkonaniu proſiła. Piszesz
„ WPan, że Córką ſię jego Opiekuie ja-
„ kiś Cnotliwy Obywatel, którego Na-
„ zwiſka nie wymieniaſz, jabym zaś ży-
„ czył, ażebyś ją przywiozł do moiey
„ Córki, ktora jeſt pod dozorem zacney
„ Wdowy Murer, lecz jeżeli WPan bę-
„ dzieſz tak upartym, że niezechceſz ſię
„ dać na to nakłonić, życzę ſię tedy
„ tym nazwiſkiem, jakim ſię teraz zo-
„ wieſz, nazywać do śmierci, a ja
„ zaś będę ſię ſtarał zapomnieć, żem

„ miał

„ miał kiedy Szwagra. *Olivier Aryng.*
„ P. S. wyſtępek WPana, jak można, tak
„ jeſt taionym. Zona moia jak nayso-
„ lenniey proſiła, ażeby nawet przed Cór-
„ ką nie wydawać, z jakiego jey Matka
„ pochodziła Domu, życzę, niech Nie-
„ ba na niego będą łaſkawe, ja zaś pono-
„ ſzę żal nieznośny z utraty ulubioney
„ mi Zony, która jedynie z alteracyi
„ przenioſła ſię do ſzczęśćiwey wiecz-
ności. (*ſkłada list*) Któżby to był taki, (*czyta na Adreſsie,*) Do Rąk JPana Doras Ach! co widzę Doras... Pan Prezydent ma bydź jey Oycem.

LOTARY.

Ten ſam.

BARONOWA.

Ten Starzec tak Cnotliwy i poważany od wſzyſtkich, cóż to jeſt, jakiby on wyſtępek popełnił, że go nawet Szwagier wyrzeka ſię?

LOTARY:

Zapomniałaś Sioſtro, co w liście piſze.

BARONOWA.

Ach! prawda) uciekł od Zonki, może była nieznośna dla niego?

LOTARY.

Y tak nie powinien był tego czynić, gdyż Małżeńſtwo jeſt węzłem naywiękſzym, który... Ale co jey mam to tłu-

ma-

maczyć, gdyż WPani ſama znaſz ten ſtan, i jego obowiązki, Doras zaś miał Zonę, jak ſam mówił, bardzo zacną Kobietę, i kochaiącą jego, ale ſam był ſłabego umyſłu, maiący nadto jeden z onych Charakterów, które ſztuczna Niewiaſta do ſwoiey łatwo nakręci woli, takiey ſię dał powodować, która go łudziła i namawiała do porzucenia Zony, byłby prędzey ten przebrzydły wyſtępek wykonał, gdyby nie Córka przeſzkadzała, którą kochał nad życie. Gdy tedy Klaryſsa mogła obeyść ſię bez Mamki, umówił ſię z tą Kobietą, i zabrawſzy ſwoie Kleynoty, Pieniądze, jakie tylko mógł mieć, porwał Klaryſsę i puścił ſię w drogę z tą Kobietą w jey poiezdzie, a ſam niewiedział dokąd. Po dwóniedzielney podróży, zanocowali w jedney Oberży, ale w jakimże zoſtał podziwieniu, gdy obudziwſzy ſię rano, uyrzał ſię bydź ogołoconym ze wſzyſtkiego, co tylko miał, prócz Klaryſsy, która mu pozoſtała. Strawiwſzy więc na próżno kilka tygodni, wybadywaiąc ſię o tey nierządnicy, a niemogąc ſię nigdzie o niey dowiedzieć, muſiał wziąwſzy Córeczkę iść o żebrza-

nym chlebie, gdyż nie miał śmiałości do ſwey Zonki powrócić.

BARONOWA.

Ach! Moſpanie, nigdybym ſię tego po nim nie ſpodziewała.

LOTARY.

Nie ſtrofuy go o nic, dosć go Sumnienie ſtrofuie od tego momentu, jak ſię zoſtał ze mną, i jak go poznałem, nigdym nie widział weſołego, zawſze smutny, a bardzo częſto ſam widziałem, że miał zapłakane oczy, rozumiałem z razu, że tego smutku przyczyna była jego niedoſtatek, i zarekomendowałem go na Urząd Sekretarza do Policyi, który ſtopniami, poſtępuiąc wyſzedł na znacznego człowieka, ale temparament jego wcale ſię nie odmienił.

BARONOWA.

Dla czegoż nie poiechał do Szwagra? piſzę do niego, ażeby Swoią Córkę oddał mu na wychowanie.... Może czasem WPan mu tego wzbroniłes.

LOTARY.

O niczym nie wiedziałem, bądź WPani pewna, że gdyby mnie był o tym uwiadomił, byłbym go swoim expensem odeſłał. Dopióro po śmierci Pana Aryng, kiedyśmy doſtali tę wiadomość, opowiedział mi ſwoią Hiſtoryą, i ten liſt mi podał:

pro-

prosząc, ażeby razem z tą Gazetą był u mnie w złożeniu.

BARONOWA.

Ależ powiedz mi WPan, co to za człowiek?... będąc Prezydentem Wexlowym i Kryminalnym, to jest Urząd bardzo wielki, oraz zyskowny, a jakeśmy byli u jego z wizytą, ażem się zdziwiła widząc w jego Pokoiu Kapucyński porządek, przecież to niższey klassy Konsyliarze Pałace sobie pokupowali....

LOTARY.

Y w tym ją uspokoię. Gdym go zarekomendował na Sekretarza, brał Pensyą dość znaczną, oprócz tego, miał dochody, prosił mnie tedy, ażebym zbywaiące jego pieniądze odbierał do siebie, na co żadną miarą niechciałem zezwolić postanowił tedy u siebie naymnieyszey rzeczy nad potrzebę nie mieć, i co tylko zbyło odnieuchronney potrzeby, wszystko rozdawał na ubogich, albo na wsparcie podupadłych.

BARONOWA.

A, otoż idzie WPana dezerter, prosił mnie, ażebym wniosła za nim instancyą do WPana.

LOTARY.

Owszem ten jego postępek większy szacunek ziednał dla niego, wart jest tego.

SCENA II.

BARONOWA, LOTARY, ALBERT.

ALBERT.

Mości Dobrodzieiu, Panna Fani prosi o pozwolenie....

LOTARY.

O pozwolenie?.... o jakie?... Panna Fani może sobie postępować, jak jey się podoba ... ale to tylko pretext.... powiedz mi WPan lepiey, jak mu się powodziło w podrużу?

ALBERT *klękaiąc.*

Ach! Mości Dobrodzieju, wyznaię to, że zasłużyłem....

LOTARY.

Na to, ażeby cię kochano, odbierzże to, co ci się należy. Wstań WPan, za tę przychylność, którąś okazał ku mnie, masz wdzięczność moią w nadgrodzie.

ALBERT.

Ach! Oycze móy, za tę dobroć twoią, gotowbym ...

BARONOWA.

No! dość już tego, powiedz nam WPan, o co Fani prosiła?

ALBERT.

Ażeby mogła mieć pozwolenie weyść do Pokoiu Jchmościow.

BA-

BARONOWA.

Fani zaś o to prosiła! cóżby to miało znaczyć?

LOTARY.

Był to tylko pretext, ale mnieyſza o to Mośpanie Albert, wieſz jednak WPan, iż dezercya w nayniewinnieyſzey mysli popełniona, zawſze ściąga na ſiebie karę. Jako Przyiaciel WPana, za WPana ku mnie przychylność, zoſtawiam mu winny ſzacunek, ale jako Pułkownik nie wchodząc w kognicyą, muſzę Chorążego ukarać.

ALBERT.

Z rąk WPana Dobrodzieia naywiękſzą karę gotów jeſtem ponieść.

LOTARY.

Bardzo dobrze, otoż za te przeſtępſtwo nie będzieſz miał z moich rąk Karoliny.

ALBERT *na stronie.*

O Nieba! zgubiony jeſtem.

LOTARY.

Cha, cha, cha, no no, nie mieſzay ſię, możeſz ią ieſzcze mieć, ale ia przyſięgam, że ci jey nie dam.

ALBERT.

Ktoż może mieć Prawo do Córki WPana Dobrodzieia, *na stronie.* Ach to nowe umartwienie.

BA-

BARONOWA.

A WPanże mówiłeś, iż naywiększą karę gotów jesteś ponieść....

ALBERT.

Mościa Dobrodziko. ..

LOTARY *podchwytuiąc.*

Nie spodziewałem się, żeby miała bydź tak sroga, wszak to miałeś mówić.... Ale daymy jemu pokoy, posłałem już dawno po Pana Prezydenta, nie wiem dla czego go tu tak długo nie widać, może czasem móy Gamacz położył się spać, proszę WPana, uczyń mi tę łaskę.

ALBERT.

Po Pana Prezydenta Doras?

LOTARY.

Tak jest, proś go WPan, niech będzie łaskaw, a odwiedzi nas dziś, przed wieczorem przynaymniey....

ALBERT.

Bardzo dobrze.

BARONOWA.

Y razem uwiadom Pannę Fani, że może śmiało weyść.

ALBERT *odchodząc.*

O Nieba! co ja to cierpię. (*odchodzi*)

SCENA III.

LOTARY, BARONOWA.

LOTARY.

Cha, cha, cha, jak zalterowany poszedł, żal mi go prawdziwie....

BARONOWA.

Ale WPan przysiągłeś, że nie wydasz Karoliny za niego.

LOTARY.

Wcale co inszego powiedziałem. Mówiłem tylko, że nie z moich rąk będzie ją miał, gdyż w samey rzeczy oddam ją dziś pod rząd Oyca. Jednak to mnie zastanawia, Fani tu przyiechała, czy nie umyslnie ona tu zabłądziła? może jey Oyciec czasem powiedział o Wuju?.. Ale trzeba się zdaleka wywiedzieć. A otoż i ona sama.

SCENA IV.

LOTARY, BARONOWA, MURER, FANI ubrana, KAROLINA,

LOTARY.

O tak, Mościa Panno, tak WPannie trochę przystoyniey, dość już świat oszukiwać A gdzież jest Pan Ludwik? nie masz to go razem....

MU-

MURER.

Miał posłać po nasz poiazd, tylko co odszedł.

FANI.

Pan Albert wyszedł ztąd bardzo pomieszany.

BARONOWA.

JPanna Karolina coś smutna.

MURER.

Cóżby to miało znaczyć?

FANI.

Mości Dobrodzieiu, daruy mi, iż się ośmielam prosić.

LOTARY.

O cóż to, i owszem, rozkaż tylko, a nic nie masz pod słońcem, cobym WPannie odmówił.

FANI.

Pan Albert wyszedł zalterowany, Panna Karolina smutna, jabym sobie życzyła, ażeby odtąd w tym domu nigdy umartwienie mieysca nie miało.

MURER.

Zapobiedz umartwieniom nie jest w ludzkiey mocy, zatym o to WPanna prosić nie możesz.

LOTARY.

No, no, wiem ja o co Panna Fani chciała prosić, zaręczam wam moie Panie, iż naydaley za pół godziny, większa radość

na-

naſtąpi, aniżeli ſię wſzyscy ſpodziewacie.

KAROLINA. *całuiąc w rękę.*

Ach! Oycze móy!

LOTARY.

Dość już, przeſtań ſię ſmucić, umartwiem trochę Alberta za to, że on nas wſzyſtkich zmartwił, ale uſpokoymy ſię na moment. WPanie sobie iako podeſzłe Kobiety rozmawiaycie z ſobą, a ja będę pytał o niektóre rzeczy moią Synową. (*ſiadaią*) Powiedz mi WPanna, jaki zamiar był jey wojażu, nie mówię Kawalerowi, a do tego maiętnemu, to jeſt rzecz przyzwoita, ale Panience tak młodey, determinować ſię w tak daleką drogę, jechać, to jeſt rzecz bardzo niebezpieczna.

FANI.

Zamiar móy nie inſzy był, jak tylko ſzukać prawdziwego ukontentowania, a te już znalazłam w domu WPana Dobrodzieia, gdyż znalazłam Męża, podłuk mego ſobie życzenia.

LOTARY.

To jeſt, ubogiego?

FANI.

Ale cnotliwego, takiego mi też było potrzeba, gdyż jeſtem sama dość maiętna, więcby mnie maiątek mniey uſzczęśliwił.

LO-

LOTARY.

Y dla tego wojażować tak daleko? Czyż w Holandyi nie masz cnotliwey młodzieży, którzy sądziliby się szczęśliwemi, posiadać jey wdzięki i maiątek?

FANI.

Ja myslę, że na całym świecie jest więcey posiadaiących dobry charakter duszy, niż innego gatunku. Ale ja mogłażbym przeniknąć, co się w czyim sercu dzieie? i gdybym w Holandyi lat trzydzieście siedziała, nigdybym Męża nie miała.

LOTARY.

A to dla czego?

FANI.

Za maiętnego nigdybym nie poszła, to było moim postanowieniem, z miernym maiątkiem i wcale bez maiątku nieodważyłby się o mnie starać, a choćby się który i osmielił, mogłażbym się przekonać, co bardziey kocha, czy mnie, czy móy maiątek, trzeba więc było użyć tego fortelu, który mi się lepiey udał, niżelim myslała, szukałam bowiem Męża, któregom chciała uszczęsliwić, a znalazłam dla siebie ukontentowanie, jakiego w całym życiu nie doznałam.

SCE-

SCENA V.

LOTARY, BARONOWA, MURER, FANI, KAROLINA, GAMACZ.

GAMACZ.

Mości Dobrodzieju, Pan Prezydent, dobrze mówię, dziś bydź nie może.

LOTARY.

A to czemu?

BARNOWA.

Co to jeſt, czego ſię ty tak trzęſieſz?

GAMACZ.

Ach! Mości Dobrodzieju, dobrze mówię, wielkie zamieſzanie czeka w naſzym domu.

WSZYSCY.

Zamieſzanie?

LOTARY.

Co to jeſt? co za zamieſzanie?

GAMACZ.

O to, dobrze mówię, wſzyſtkie żółtobrzuchy walą ſię do WPana Dobrodzieja, dobrze mówię, z karabinami, z dzidami.

BARONOWA.

Co ty gadaſz, co tu maią robić te?...

LOTARY.

Co WPani uważaſz, pijany jak Bela.

GAMACZ.

Oy nie pijany, dobrze mówię, tam ktoby

by był, dobrze mówię, naypiańſzy, to by ſię wytrzezwił na ten widok.

SCENA VI.

Ci ſami, LUDWIK.

LUDWIK.

Ach! Mości Dobrodzieju, co ſię to znaczy, naſz dom otaczaią Zołnierze Mieyscy.

LOTARY i BARONOWA.

Naſz dom? (*wſzyscy pomieſzani*)

MURER.

Nie wiadomoż przyczyny?

LUDWIK.

Ach! kochana Fani.

KAROLINA.

A Pan Albert nie powrócił?

LOTARY.

Biegay WPan Panie Ludwiku, ſpytay ſię, co to znaczy.

SCENA VII.

LOTARY, BARONOWA, MURER, FANI, KAROLINA, GAMACZ, LUDWIK i ALBERT.

ALBERT.

Mości Dobrodzieju, mam co pomówić z WPanem Dobrodziejem. BA-

BARONOWA.

Bracifzku, niech Pan Albert tu powie... co się to znaczy, co to jeft, WPan Blednieiefz?

LOTARY.

My iuż jedną fkładamy Familią, niemafz WPan co taić, powiedz WPan raczey, co to za zamiefzanie.

GAMACZ.

A co, dobrze mówię, nie mówiłem, a zaraz Gamacz, dobrze mówię, piiany jak bela.

ALBERT.

Otoż nadchodzą

WSZYSCY

Zołnierze?

SCENA VIII.

Ciż sami, KONSYLIARZ, INSTYGATOR, UNTER-OFFICER, czterech ZOŁNIERZY, dwóch z dzidami.

KONSYLIARZ.

Mości Pułkowniku, daruy nam WPan, iż tak nieprzyzwoicie do niego wchodziemy, chciey nas w tym mieć za wymówionych, gdyż takie jeft żądanie Strony powodowey.

INSTYGATOR *podaiąc Mandat.*

Mandat od Juryzdykcyi Kryminalney.

LOTARY *rozwija.*

Przebóg! z czarną Pieczęcią. (*czyta*) O! Boże.

BARONOWA.

Komuż to?

KONSYLIARZ.

Podróżney, ~~która~~ jest w domu Ichmościow z Córką.

WSZYSCY.

Pani Murer.

MURER.

Mnie?

KONSYLIARZ.

Tak jest Mościa Pani. Dom zaś Pana Pułkownika jest otoczony wartą, ażeby z niego nayniniey szey rzeczy nie wyniesiono. Pan Pułkownik ma także znaydować się przy Inkwizycyi, ta zaś Warta z Instygatorem zostaną się w Pokoiach. Żądał Pan Gierycht koniecznie tego, ażeby ta Pani z swoią Córką przez Miasto przez Pacholkow były prowadzone.

MURER.

Ja przez Pachołków?

KONSYLIARZ.

Tak jest, ale Sąd na to nie pozwolił, żechcesz WPani Dobrodzika pokazać wszystkie papiery, jakie się u niey tylko mo-

mogą znaydować, które mam komportować do Sądu, a WPan Mospanie Instygatorze popieczętuy wszystkie drzwi w Kamienicy, a naybardziey miey pilność, żeby w czasie niebytności Pana Pułkownika, jaka swawola nie stała się przez Zołnierzy, za co byłbyś w odpowiedzi. *do Murer.* No, chodźmy Mościa Dobrodziko.

MURER.

Bardzo chętnie.

LOTARY *wstrzymuiąc Konsyliarza.*

Mospanie Konsyliarzu, Pani Murer sama przyniesie, jakie tylko ma papiery. Zaręczam WPanu, że nie potrzebuie straży koło siebie.

KONSYLIARZ.

Nie wątpię o tym. (*do Zołnierzy*) A wy możecie się rozeyść (*do Instygatora*) WPan zaś rozpoczynay swoią robotę (*Zołnierze się rozchodzą, Instygator zaczyna drzwi pieczętować*)

LOTARY.

Co za podła dusza ten Gierycht.

FANI.

Ale co on ma do nas?

LUDWIK.

Och! nigdy mu tego nie daruię.

ALBERT.

Gdyby mi przyſzło życie utracić, zemſzczę ſię nad nim.

KAROLINA *z płaczem.*

Ach! kochana Fani.

LOTARY.

Czego WPanna płaczeſz? czyſte ſerce żadnego Sądu lękać ſię nie powinno.

BARONOWA.

Ależ móy Braciſzku, Ja sama do ſiebie przyiść nie mogę.

LOTARY.

A czemu Panna Fani nic na to nie uuważa, choć jeſt także przypozwana.

FANI

Ja ſię z tego wſzyſtkiego śmieię, gdyż wiem, że ten, co nas zapozywa, sam ſiebie będzie ſię wſtydził.

KONSYLIARZ.

Nie dość na tym, jeżeli nie dokaże tego, co zadaie, nayſurowiey będzie karany.

BARONOWA.

Chciey WPan nam powiedzieć, o jaki kryminał oſkarża Panią Murer?

LOTARY.

Tego ſię WPani teraz nie dowieſz.

SCE-

SCENA IX.

Ciż sami, MURER *wchodzi z Papierami zakwefiona, po którey wyiściu na scenę, Instygator drzwi pieczętuie.*

MURER.

Otoż są wſzyſtkie, jakie ſię tylko u nas znayduią.

KONSYLIARZ *przegląda*

Jeſt ich sztuk trzy (*chowa za Surdut*)

LOTARY.

No, idźmy, nie traćmy czasu, bo tam muszą nas czekać. Panno Karolino, i WPanna z nami póydzieſz. Ale z jakąż paradą póydziemy!

BARONOWA.

Y ja ſię tu sama nie zoſtanę, idźmyż razem. (*odchodzą, Kobiety biorą ſię pod ręce.*)

GAMACZ.

Oto, dobrze mówię, po parże, po parze, a z tyłu dwa, dalibóg, dobrże mówię, iak do Szlubu i nas tu dwóch dobrze mówię zoſtało. No, Mospanie, ſkończyłeś WPan, dobrze mówię swoią robotę?

INSTYGATOR.

Już ze wſzyſtkim.

GAMACZ.

Y czegoż mamy dobrze mówię, na

próżno czas trawić? O to póydźmy dobrze mówię, pod białego Jelenia.

INSTYGATOR.

Z całego serca bym to uczynił, ale żadną miarą nie mogę.

GAMACZ.

Idźmy więc dobrze mówię, do mojey Stancyi, to tam poszlemy sobie dobrze mówię po parę Butelek Wina, dobrze mówię, dostałem od Prezydenta Talara, to też go dobrze mówię, i stopiemy we dwóch.

INSTYGATOR.

Od Pana Prezydenta Doras?

GAMACZ.

Tak jest, Oy dobry to Pan, dobrze mówię, nigdy człowieka nie odpuści, żeby czego, dobrze mówię, nie dał.

INSTYGATOR.

To i owszem, Panie dobrze mówię, póydziemy.

SCENA X.

Teatr okazuie izbę Sądową, w tyle krata, za którą stół nakryty suknem, Prezydent Doras siedzi w końcu stołu za stołem kilku Konsyliarzy, w drugim końcu stołu Sekretarz; nad kratą wiszą firanki do zasłaniania

koła

koła podczas namowy, przed kratą taboret, na którym miecz, z obu stron teatru ławki.

GIERYCHT, DORAS, SEKRETARZ, KONSYLIARZE, WOZNY.

SEKRETARZ.

Mośpanie Gierycht, nie maszże WPan tu kogo usunąć z tego koła, które się zebrało na Inkwizycyą Pani Murer.

GIERYCHT.

Y owszem proszę o pozwolenie.

SEKRETARZ.

Kogoż to?

GIERYCHT.

Pana Prezydenta

KONSYLIARZE *wszyscy z obruszeniem.*

Pana Prezydenta?

GIERYCHT.

Tak iest.

SEKRETARZ.

Jakąż WPan masz tego przyczynę?

GIERYCHT.

Jest przyiacielem Pana Pułkownika.

KONSYLIARZ.

Ale czy iest też WPana Nieprzyiacielem? gdyż Pan Prezydent jest każdego naywiększym przyiacielem.

GIERYCHT.

Ten, który ieſt przyiacielem ſzczególnym Pułkownika, przez to samo ſtaie ſię moim głównym nieprzyiacielem.

KONSYLIARZ.

Ja Imieniem całego tu zgromadzenia oświadczam, iż wſzyscy jeſteśmy przyiaciołmi Pana Pułkownika.

KONSYLIARZE *wſzyscy powstaiąc.*

Przyznaiemy.

KONSYLIARZ.

Więc wſzyscy powinniśmy bydź usunięci.

GIERYCHT.

A któż będzie sądził. (*na stronie*) A czy mnie tu wſzyscy diabli wniesli.

DORAS.

Mospanie, nie mysl WPan tego, ażeby u Sędziego pzzyjaźń brała pierwſzeńſtwo ſprawiedliwości. Sędzia bowiem roztrząsaiący spory między ſtronami, bierze na ſiebie poſtać Boſką, więc ſtarać ſię powinien bydź mu podobnym, jeżeliby zaś mógł ſię gdzie znaleść taki, który bardziey unoſi ſię prywatą, niż ſłuſznością, nie wart jeſt, żeby go nawet ziemia noſiła, ale ponieważ WPan inaczey myslíſz, wynaydę więc środek zoſtawienia go w tey mierze przekonanym, tylko ſię pierwey naradzę z memi wſpół kollegami.

dzwo-

(*dzwoni*) zasłonić firanki (*Woźny zastania całe koło, sam usiada koło kratek.*

GIERYCHT *zbliżywszy się ku Parterowi.*

A czy mnie wszyscy diabli nadali rozpocząć tę Sprawę, wiem, że sprawiedliwa, ale cóż, czy oni są takiemi, jakiemi się bydź powiadaią, zwyczaynie, każda liszka swóy ogon chwali.... Oy! żebym to ja wygrał, dopiórobym się posmarował pieniąszkami tey Babki, ale broń Boże, jeżeli inaczey póydzie, to ja zginę, jak ruda mysz... Trzeba tu jaki śrzodek wynaleść. (*mysli*) Zeby się ona chciała ze mną pogodzić. Ha! tobym może i milczał. A jeżeli nie zechce, to ... Ale i cóż zrobię, ztąd niema żadney Apellacyi. Wielka szkoda, żem jey do potocznych Sądow nie zapozwał.

SCENA XI.

Sąd za Firankami, WOZNY *przy kracie.*

GIERYCHT, LOTARY, KONSYLIARZ.

KONSYLIARZ *spogląda na kratki.*

Na namowę wzięli, zatrzymay się WPan, ja póydę do koła. (*odchodzi za Firanki.*

GIE-

GIERYCHT *na stronie.*

Otoż iest, trzeba z nim trochę pomówić. (*głośno*) Kłaniam Mosci Pułkowniku.

LOTARY.

Uniżony ſługa WPanu.

GIERYCHT.

A co Mospanie, założyłbym ſię, że WPan przed półgodziną nie wiedziałeś o tym, że ſię tu będzieſz znaydował.

LOTARY.

Prawda, ia bym też założył ſię, że i WPan nie wieſz, gdzie ſię za pół godziny będzieſz znaydować.

GIERYCHT *na stronie.*

Oy! cóś oſtro odpowiada zapewne Sąd przekupił. Czemu ia sam z tym Konsyliarzem nie poſzedłem. Ach! co za głupia beſtya ze mnie. Ale nie traćmy ſerca, (*do Lotarego*) Moſpanie, mnie ſię zdaie, że lepiey jeſt tyſiąc razy żyć w zgodzie, aniżeli ſię kłócić.

LOTARY.

Dla tego też przez całe życie z nikim ſię nie kłóciłem, aż dopióro na ſtarość muſzę.

GIERYCHT *na stronie.*

Cóś zmiękczał, poſtąpmy daley (*głośno*) ſpodziewam ſię, że i teraz przeſtaniem ſię kłócić. Ponieważ tedy Ta Sprawa,

wa, którąm rozpoczoł, i WPana powinna równie obchodzić, zatym na pogodzenie się day mi Córkę swoią za Zonę, a ustąpię procesu.

LOTARY.

Y nic więcey?

GIERYCHT.

Od WPana więcey nie żądam, bo niemasz, ale co ta Pani, ieżeli się zechce ugodzić, to musi diabelnie potrząść szkatuły. Oy! bo ja nie dudek, mnie byle czym nie zbyć.

LOTARY.

Słuchayże ty podły człowieku, niechcę nawet wiedzieć, iaką masz do mnie i do niey pretensye... widzisz ten miecz, oto wolę poddać kark swóy pod niego, aniżeli patrzeć na cnotliwą dziewczynę żyiącą pod Jarzmem tego, którego świat cierpieć nie może (*tu słychać dzwonienie*)

WOZNY *odsłaniaiąc firanki.*

Proszę się uciszyć.

GIERYCHT *na stronie.*

Słuchaymy, co tam będzie. Ach! coś mi się łytki trzęsą.

SEKRETARZ *idzie do kratek, czyta Dekret.*

„Ru 179. N. Miesiąca N. dnia N.

„My

„ My Prezydent i Konsyliarze, będąc wo-
„ kowanemi na Sefsyą nadzwyczayną od
„ JPana Gierycht do Sali kryminalney,
„ znayduiąc fię w komplecie przyzwoi-
„ tym do wyfłuchania Inkwizycyi i zą-
„ decydowania kary na przeieżdżaiącą
„ przez Miafto Oldenburg Cudzoziemkę
„ nazwifkiem Murer i z iey Córką, a po-
„ nieważ JPan Gierycht nie ma zupełne-
„ go zaufania w nafzym komplecie, za-
„ tym, chociaż to ieft przeciwko po-
„ wfzechnemu zwyczaiowi, my onemu
„ bydź przytomnym przy tey Inkwizy-
„ cyi nakazuiemy, a dla uczynienia o-
„ bóm ftronom przyzwoitey satysfakcyi,
„ z ftrony pomienioney Cudzoziemki
„ JPana Fauftyna Lotarego Pułkownika
„ przeznaczamy (*Pułkownik fię kłania*.)

DORAS

Teraz WPan możefz bydź w nas zaufanym (*do fługi.*) Niech wniydzie ta Cudzoziemka.

GIERYCHT.

Pierwey Jey Córka niech będzie fłuchaną, gdyż ta Baba lis szczwany może fię wykręcić.

DORAS.

Pozwalam, niech więc weydzie jey córka (*Woźny odchodzi*) *Tym czasem,*

nim

nim Fani weydzie. Sekretarz ſkłada Papiery, Lotary i Gierycht ſiadaią na ławkach.

SCENA XII.

Ciż sami, FANI *wchodząc kłania ſię Sądowi, między Sędziami powstaie rozruch.*

DORAS.

Proſzę o głos (*Sędziowie uciſzaią ſię, do Fani.*) Mościa Panno, znayduiąc ſię tu, muſiſz odpowiadać Panu Sekretarzowi na jego zapytania, oſtrzegam jednak ſtrzedz ſię naymnieyſzego fałszu, gdyż ten prędko będzie poznanym.

FANI.

Nigdy uſta moie nic kłamliwego nie wymówiły, na wſzyſtko będę odpowiadać iak nayprawdziwiey, pierwey iednak na nic nie odpowiem, aż póki móy liſt podróżny nie będzie przeczytanym w moiey przytomności.

DORAS.

Bardzo dobrze. Moſpanie Sekretarzu, poſzukay między temi papierami tego liſtu (*podaie papier.*)

GIERYCHT.

Obaczemy, co to będzie za liſt, i przez kogo podpisany.

SE-

SEKRETARZ. *bierze papier i czyta a na wierzchu notę.*

„ Sories lokowanych wexlow bankowych na Summę sto tysięcy Czerwonych złotych poddanych do Kancellaryi w depozyt przez JPana Milka adwokata. &c. „

GIERYCHT.

Sto tysięcy Czerwonych złotych, day go katu, piękna Summa.

SEKRETARZ *bierze drugi papier.*

„Extrakt Testamentu w Bogu zeszłego Oliviera Aryng. „

DORAS *porywa się.*

Oliviera Aryng? ach! co to znaczy?

GIERYCHT.

Nie przeryway WPan, czekaymy końca, szukay WPan listu Mości Sekretarzu (*na stronie*) już chciał skręcić.

SEKRETARZ *czyta,*

„ List podróżny JPanny Fani Aryng.. „

DORAS.

O Nieba! to ona sama.

GIERYCHT.

Co za ona?

DORAS.

Mości Vice-Prezydencie! Panie Sekretarzu, kończcie WPanowie czytać, bo ja dłużey wytrzymać nie mogę. (*wybiega z za kratek, i pada na szyie Fani*)

ni.) O naymilſza Sioſtrzenico! uściſkay Wuia twego.

F A N I. *w podziwieniu.*

WPan jeſteś moim wuiem?

G I E R Y C H T.

Jey Wuy! a to z kąd ſię Wzieło? (*do Sekretarza*) Proſzę o ten liſt (*Sekretarz mu podaie, Gierycht czyta i mieſz ſię.*)

F A N I,

O zdarzenie nayſzczęśliwſze.

L O T A R Y.

Spodziewałem ſię tego.

DORAS (*bieży do Pułkownika w naywiękſzey radości, i ściſkaią ſię.*)

Kochany przyiacielu! zkądże u ciebie znayduie ſię ten skarb, którego w życiu moim nie ſpodziewałem ſię widzieć.

GIERYCHT *przeczytawſzy liſt.*

Zgubiłem ſię.

F A N I.

WPan moim Wuiem! niewiedziałam nawet o tym, że mam gdzie krewnego.

DORAS *nie poſiadaiąc ſię z radości.*

Słuſznie ci to taiono... dowieſz ſię o wſzyſtkim. Ach! gdybym miał ten liſt, który Oyciec WPanny do mnie piſał.

L O T A R Y.

Mogęż go pokazać?

LO-

DORAS.

Ach! proſzę o to.

LOTARY *oddaie liſt i gazetę.*

Oto jeſt.

DORAS *podaiąc liſt Fani.*

Czytay ten liſt kochana ſynowico, a dowieſz ſię przyczyny taienia ci tego, że maſz Wuia; ale nie bądź WPanna na mnie tak ſroga, iak byli jey rodzice.

FANI *czyta liſt i całuie podpis.*

Ręka Oyca mego, nic więcey niechcę wiedzieć, już przekonaną jeſtem, oraz nayſzczęśliwſzą.

DORAS.

Gdzież jeſt ta cnotliwa kobieta, gdzie jeſt ta Murer, pod którey dozorem wychowaną byłaś, i która ma powſzechną eſtymę w całey Holandyi.

LOTARY.

Czeka na galeryi, gdyż to ona jeſt przypozwaną przez P. Gierycht.

DORAS.

Onaż to? . . Ach proście jey! niech ſię przekona ten! . . (*ſpogląda na Gierychta z miną pełną wzgardy*) kogo zapozwał. (*Wożny odchodzi*) Mości Vice-Prezydencie! czytaycie WPanowie ten punkt w gazecie, a uyrzycie iż ta wiadomość zgadzaſię z liſtem podróżnym

żnym. (*Idzie za kratę i podaie gazetę Vice-Prezydentowi.*

GIERYCHT.

Wpadłemże ja teraz, jak ſzczur w łapke; otoż co moia złość i łatwowierność narobiła.

SCENA OSTATNIA.

Wchodzą wſzyscy, MURER zakwefiona.

FANI *biegnąc do Murer.*

Ach! Mościa Dobrodziko! nad ſpodziewanie moie, znayduię tu Wuia mego.

MURER.

WPanna maſz Wuja? czemuż ja o tym nie wiedziała (*odſlania kwef.*)

DORAS.

Taż to, niechże ią poznam (*pozieraiąc jeden na drugiego*) O Boże! (*rzuca ſię na Ławkę.*)

MURER.

Ach! (*pada zemdlona, Albert i Ludwik utrzymuią moment milczenia*)

LUDWIK.

Coto ieſt?

ALBERT.

Co to ma znaczyć?

BARONOWA.

Maż to bydź jey Mąż?

FANI.

Pani Murer moia Wuienka?

LOTARY *podnosząc Doras.)*

Już wiem o wszystkim, dość już, nie dopuszczay Jey w tym stanie dłużey zostawać.

DORAS *porywa się.*

Ach! czegoż się ociągam *pada do nóg Murer, iak długi)* O Dorys! ... naymilsza Dorys, ty Małżonko moia, którey ja weyrzenia nie jestem godzien, przebacz mi.... daruy mi .. oto u nog twoich widzisz, nie Męża, ale zbrodnia upokorzonego.

MURER *przychodząc do siebie słabym tonem.*

Gdzież jest, gdzie się podział? *(postrzega u nog Męża)* O Lors! ty żeś to iest kochany Małżonku?.... wstań już... wstań, pozwol mi się uscískać.

DORAS *powstaiąc.*

Znalazłemże cię tak łatwą do odpuszczenia?

MURER.

O niczym nie wiem, o niczym niepamiętam, proszę, ażebyś z twoiey strony nie wspominał mi o tym, a będę się sądzić nayszczęśliwszą.

KAROLINA *do Pułkownika.*

Ach! Mości Dobrodzieiu, nie wiem, co

to

to jeſt, ten widok, wielkie we mnie ſprawia pomieſzanie.... Ach! serce me nadzwyczaynie bić zaczyna.

LOTARY.

Dowieſz ſię wkrótce przyczyny tego.

DORAS *do Fani.*

Mościa Panno, nad spodziewanie swoie podobno znaydowałaś ſię pod opieką swoiey Wuienki. (*do Murer*) Ale do czegoż ci kochana Dorys było przybierać inſze Imie. Ja muſiałem to uczynić, przybrałem więc twoie Imie, a te mi było pociechą w moim umartwieniu.

MURER.

Przeſtańmy o tym mówić, przeſtańmy już.... Ach!.... czy mogę ſię zapytać?.... Nie.... nie odważę ſię, ażeby czasem ta radość, którą teraz doznaię, nie była zamienioną....

DORAS.

Domyslam ſię reſzty.... Chceſz ſię pytać o Klaryſsie.... Mości Pułkowniku, ja na to odpowiedzieć nie potrafię.

LOTARY.

Więc ja WPana w tym wyręczę (*do Karoliny*) Moia kochana Klaryſso, dość już ciebie oſzukiwać, ja ciebie tylko wychowałem, a to są twoi Rodzice.

MURER.

To moia Klaryſsa.

KLA-

KLARYSSA *raz do Oyca, drugi raz do Matki odwraca się.*

To móy Oyciec,.. moia matka! .... ach! siły utracam. (*w naywiększym poruszeniu pada osłabiona, Lotary i Baronowa wstrzymują.*

MURER *bieży do córki.*

O córko moia! teraz jestem zupełnie szczęśliwa.

KAROLINA *całuiąc w rękę Oyca i Matkę.*

Mogęż temu wierzyć?

D O R A S.

Kochana Klaryśso, oszukuiąc ciebie, serca twego nie mogliśmy oszukać.

L U D W I K.

Przyiść do siebie nie mogę. Więc Karolina nie iest moią Siostrą?

K A R O L I N A.

O Matko moia!, o Oycze móy! (*do Półkownika*) Mości Dobrodzieiu, może tym co wykraczam przeciwko WPanu Dobrodzieiowi.

D O R A S.

Niczym, owszem winszuię mocno sobie tego, że mi się wydarzyła okazya oddania WPanny Jey rodzicom.

BARONOWA.

No, Mości Panowie młodzi, teraz na WPa-

WPanów koley, gdyż to zdarzenie cały nasz układ zniſzczyło.

MURER.

Nie, Mościa Dobrodziko, spodziewam ſię, że wſzyſtko póydzie pomyslnie. Panno Fani, teraz WPanna zupełnie dependuieſz od Pana d' Orli. Moſpanie Ludwiku, Albercie, macie jeden Oyca, a drugi Wuia, ſpodziewam ſię, że wam nie odmówi.

DORAS.

Nie Naymilſza żono! Fani pod jey dozorem wychowana, Klaryſsa jeſt twoią Córką, zatym obydwie do niey należą.

BARONOWA.

Otoż spór niepotrzebny, ja was Oboyga pogodzę. Córka ſłuſznie należy do Matki. (*do Fani*) WPanna zaś do Wuja. (*do Alberta i Ludwika*) a WPanowie idźcie każdy zoſobna proſić o ſwoią, ieżeli ſię wam uda, będę im winſzowała.

LUDWIK *całuie Dorasa w rękę.*

Łaſkawy Dobrodzieju!

ALBERT *do Murer.*

Cheiey ſię Pani przyłożyć do mego uſzczęsliwienia!

DORAS.

Mospanie Ludwiku, Fani ieſt ſobie Panią, może więc sobą rządzić, jak ſię jey podoba.

FANI.

Nigdym jeſzcze ſobą nie rządziła, byłam dotąd poſłuſzną moiey Wuience, ale kiedy nad ſpodziewanie moie znalazłam Wuia, pod jego rząd zupełnie ſię oddaię.

DORAS *bierze ich za ręce i łączy.*

Kiedy tak ſię WPannie podoba, żyicie więc szczęsliwie.

LUDWIK.

Kochana Fani (*całuie w rękę.*)

KAROLINA *do Murer.*

Mościa Dobrodziko!

MURER.

Moia Córko, od dawna, jak widzę, jeſteście dla ſiebie przeznaczeni. Jeżeli tylko o to idzie, ażebyś z moich rąk była mu oddaną, niechże i tak będzie.

ALBERT.

Teraz ſię widzę bydź nayſzczęsliwſzym.

BARONOWA.

Móy Braciſzku, cóż my tu znaczemy?

GIERYCHT.

WPańſtwo znaczycie Ludzi nayſzczęsliwſzych, ile maiąc ſerce tak pięknie utworzone. Ale ja co tu znaczę?.. Mości Prezydencie kończ więc Sprawę... Poznaię, że jeſtem niegodzien znaydować ſię w ſpołeczności uczciwych ludzi, pod-

daię

daię się pod Sąd, i chętnie przyimę karę, jaka z decyzyi waszey wypadnie.

D O R A S.

Ja od dziś dnia składam móy Urząd, który piastowałem nienagannie. Mości Vice-Prezydencie, zdaię go WPanu, zaczniy tedy WPan swoią Prezydencyą od naszey Sprawy.

Vice PREZYDENT.

Odbieram go z podziękowaniem z ręki WPana Dobrodzieja. Będę się starał bydź mu podobnym. Ale ponieważ jest to dzień ostatni Prezydencyi WPana, zechcesz więc bez naymnieyszey wymówki sam jeden wydać decyzyą w Sprawie Pana Gierycht.

D O R A S.

Z ochotą. Panowie Kolledzy zezwalaią na to?

KONSYLIARZE.

Pozwalamy.

D O R A S.

A Pan Gierycht przystaię?

GIERYCHT.

Całym sercem.

D O R A S.

Usiądźmyż na mieyscach (*do Woźnego*) przywołać Strony. (*siadaią każdy na swoim mieyscu*)

WOZNY.

Przyſtępuycie ſtrony do Dekretu! (*bierze miecz i podnoſi go*) Poczuwaiący ſię do wyſtępku niech klęka, i ſłucha wyroku ſprawiedliwości! (*Gierycht klęka upokorzony.*)

MURER.

O Boże! cóż to będzie? (*wſzyscy potrwożeni.*)

BARONOWA.

Boże chciey go ochronić.

DORAS.

Schoway ten Miecz (*Woźny kładzie Miecz w pochwy.*)

LOTARY.

Ach! oddycham przecię (*wſzyscy okazuią ukontentowanie.*)

DORAS.

Chcę, żeby dzień dziſieyſzy, jako początkowy mojey prawdziwey ſzczęśliwości, radośnie był ſkończonym A ponieważ jeſt takie u nas Prawo, że z tey Sali jeden ukaranym wyiść powinien. Zatym przeznaczam, ażeby Pan Gierycht natychmiaſt jednego areſztanta oſadzonego za długi wykupił.

KONSYLIARZE *powstaią.*

Wiwat, barzo dobrze.

GIERYCHT *wstaie upokorzony.*

Przeswietne zgromadzenie, przyznaię, iż

iż to ieſt kara dla mnie nadto lekka, wypełnić onę naysolenniey obowiązuię ſię, a jeżeli Sąd na to pozwoli, to jeſzcze za trzech innych długi pooopłacam.

D O R A S.

Do dobrey woli WPana będzie to należało. (*wſzyscy idą na śrzodek.*

GIERYCHT.

WPan zaś Mości Albercie, zechceſz odemnie przyiąć ten Folwark, który móy Oyciec WPanu zatradował. Nie odmawiay mi tey łaſki, bardzo o to proſzę. A teraz przyſięgam w tym Swiętym mieyscu, iż odtąd wcale inaczey żyć zacznę. O to tylko proſzę, nie odmawiaycie mi ſwoiey przyiaźni, niech dzielę z wami to ukontentowanie, którego wy teraz doznaiecie.

D O R A S.

Mości Pułkowniku, Naymilſza Zono, i ty kochana Fani, ja wnoſzę moią inſtancyą za Panem Gierychtem, odpuśćcie mu to, co przeciwko wam wykroczył... Ach! wy tego poiąć nie możecie, ile całe życie będąc cnotliwemi, jak wyſtępny powracaiąc do cnoty, jeſt upokorzonym, ale mnie ſię o to pytaycie.

MU-

MURER.

Kochany Mężu, z moiey ſtrony niech ſię ſtanie podłuk woli twoiey, wſzyſtkie umartwienia nie wyrównaią mi tey roſkoſzy, którą teraz doznaię, przez to znalezienie ſię nieſpodziane.

Koniec Drammy.

